

Opłata pocztowa ulszczona ryczałtem

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 10 lipca 1949 r.

Nr 28 (207)

Stefan Ignar

OFENSYWA NA FRONCIE KULTURY *)



„Komiczna jest na całym froncie kulturalnym — ofensywa w kierunku upowszechnienia i udostępnienia kultury dla całego narodu”.

KULTURA MAS PRACUJĄCYCH

Przemówienie Prezydenta Bieruta we Wrocławiu w listopadzie 1947 roku wzbudziło entuzjazm wśród wszystkich działaczy kulturalno - oświatowych, a szczególnie udziału chłopskich. My bowiem pracujemy na tym najbardziej zarośniętym i wyschniętym ugorze, jaki istnieje dotąd na wsi jako haniebnny spadek po niewoli pańszczyźnianej i kapitalistycznej. Bezpowrotnie minął okres, kiedy to niemal w pojedynkę wielu z nas prowadziło szaryfową pracę, dźwigając na plecach książki i gazety do dalekich wsi i unikając starannie spotkania ze stróżami ciemnoty i wyzysku, z granatową policją. Stało się teraz jasne dla nas, że Państwo Ludowe po ogarnięciu planem życia gospodarczego stworzy plan likwidacji ciemnoty i zacofania kulturalnego.

Nadzieje nasze szybko się spełniają. W ciągu roku od wysunięcia hasła ofensywy na froncie kulturalno - oświatowym został opracowany szczegółowy plan akcji oraz powstała organizacja, która ma wykonać postawione zadania.

Pierwszą praktyczną decyzją było powołanie do życia Komitetu Upowszechnienia Książki, który w krótkim czasie wydał kilka milionów egzemplarzy, najlepszych książek i rozprowadza je w cenie 100 zł. za tom oraz założył tysiące bibliotek gminnych i gromadzkich.

Drugim — zasadniczym krokiem — było powołanie w końcu ubiegłego roku Głównej Komisji do Spraw Kultury, która stanowi naczelny organ pracy kulturalno - oświatowej.

Równocześnie z obmyślaniami planu organizacyjnego i mobilizacją sił do ofensywy kulturalno - oświatowej idąc za wskazaniem Prezydenta Bieruta, działacze oświatowi i kulturalni poddali rewizji pokutujące dotąd fałszywe i elitarne poglądy na stosunek twórców do mas pracujących i na rolę zespołów amatorskich. Została także wykonana odkrywcza praca w dziedzinie właściwego rozumienia i oceny kultury ludowej. Praca w tej dziedzinie wiąże się ściśle z wyjaśnianiem istoty patriotyzmu mas pracujących Polski, który jest ściśle zespolony z między-narodową solidarnością robotników i chłopów w walce przeciw wyzyskiwaczom i podżegaczom wojennym. Takie rozumienie patriotyzmu ugruntowało się ostatecznie w zdecydowanej walce narodów o pokój przeciwko rządowi imperialistycznym, przygotowującym nową wojnę.

*

Do zrozumienia wartości kultury ludowej przyczyniły się dwie wielkie imprezy: festi-

wal zespołów świetlicowych Związków Zawodowych zorganizowany w ubiegłym roku we Wrocławiu i tegoroczny festiwal muzyki ludowej, zorganizowany przez Polskie Radio, Ministerstwo Kultury i Związek Samopomocy Chłopskiej.

Po festiwalu muzyki ludowej ukazało się wiele artykułów napisanych przez czołowych działaczy kulturalno-oświatowych. Starano się tam wyciągnąć wnioski ogólne, jak organizacyjne, na które winniśmy zwrócić uwagę.

„Stwierdzenie wielkiej wartości sztuki ludowej jako niewyczerpanego ożywczego źródła sztuki i kultury narodowej należy dziś do „truizmów” czyli pewników.

„Bogata sztuka ludowa to dziś sztuka ludowa jako przeciw kosmopolityzmowi. W folklorze polskim kompozytor znajduje bliskie sobie narodowe motywy dla dalszej twórczości, plastyk tematykę, świeżość i oryginalność kompozycji, śmiałą fantazję w układzie kolorów”.

(Jadwiga Siekierska „Kućnica” Nr 24 z dnia 14 czerwca).

W tym samym n-rze „Kućnicy” pisze jedna z inicjatorek festiwalu, Zofia Lisza:

„Festiwal muzyki ludowej zaczął wielkie dzieło rozbicia nieufności, które — co tu mówić — zawsze jeszcze ciąży na wzajemnym stosunku wsi i miasta. Rozbicia kompleksu niższości wsi w stosunku do miasta i tego stosunku „poklepywania po ramieniu”, z jakim często miasto odnosiło się do kultury

wsi. Festiwal udowodnił ludziom wsi, że ich wartości kulturalne są wartościami całej Polski, i z tym uczuciem rozjeżdżali się uczestnicy festiwalu, z tym uczuciem wieś polska słuchała przez głośniki naszych oklasków. I uczucie to wyda swoje owoce.”

W nr 25 „Wsi” z dnia 19 czerwca br. ukazał się wstępny artykuł wiceministra Sokorskiego pt. „O właściwy stosunek do sztuki ludowej”, w którym autor przed postawieniem wniosków organizacyjnych stwierdza:

„Sztuka ludowa i sztuka naszej rzeczywistości wiąże się z sobą w sile bezpośrednich doznań, w sile wyrazu sztuki głęboko narodowej i jednocześnie głęboko ludzkiej sztuki będącej bezpośrednim wyrazem człowieczych trosk, radości, szczęścia, pracy, trudu, walki i triumfu zwycięstwa.

Zbieżność pieśni ludowych i pieśni masowych proletariatu to nie zbieżność formalna i nawet nie zbieżność tematyczna. To zbieżność sztuki tętniącej życiem dni naszych, uczuć naszych i walki naszej. To zbieżność dynamiki naszych czasów”.

„Na wieczne żywe, nieskończenie piękne tło sztuki ludowej musimy rzucić **twórczą myśl naszych czasów, wskazując kierunek i metodę rozwiązywania zagadnień.**

I to są elementy naszej walki o przyszłe oblicze socjalistycznej kultury Polski Ludowej”.

Z przytoczonych, zgodnych z sobą, wniosków, określających wartość i rolę kultury ludowej można już zbudować fundament planu naszej pracy kulturalnej na wsi. Musiałoby upłynąć kilka lat od czasu, jak Jan Aleksander Król rozprawiał się na łamach „Wsi” z chłopomańskim wypaczeniem kultury ludowej, aby dojść do sedna sprawy i odnaleźć wartość samej kultury ludowej.

Powoli kształtuje się także kierunek krytyki i treści dzieł literackich po zdemaskowaniu schyłkowych upodobań i nałogów

GEORGI DYMITROW



Georgi Dymitrow

z lipca zmarł wybitny działacz międzynarodowego ruchu robotniczego, przewodniczący Rady Ministrów Bułgarskiej Republiki Ludowej, Sekretarz Generalny Komitetu Centralnego Bułgarskiej Partii Komunistycznej, Georgi Dymitrow. W zmarłym światowy obóz demokracji i postępu stracił jednego ze swych najwybitniejszych działaczy.

„Urzędnik policji Heller cytował tu wiersz komunistyczny, zamieszczony w książce, która ukazała się w roku 1925, aby dowiedzieć, że w roku 1933 komuniści podpalił Reichstag. Pozwól sobie również zacytować tu wiersz, ale wiersz największego niemieckiego poety Goethego:

Ucz się w porę mądrym być.
Na ogromnej szczęścia wadze
Rzadko szale tkwią w bezruchu;
Musisz wznosić się lub padać,
Musisz rządzić i zwyciężać,

W NUMERZE

między innymi:

- B. Chęciński — Komunikaty wierszowane.
- J. M. Gisges — Żywa tradycja.
- J. W. Mazurkiewicz — recenzja książki Engelsa, napisana w r. 1846.
- A. Kamińska — W kręgu „Niepokoju”.
- W. Leopoldowa — Pamiętnik czy lamus?
- L. Budrecki — Metoda psychologiczna.
- L. Bartelski — wiersz.
- M. Margal — „Ulica Graniczna”.
- K. Treniew — „Lubow Jarowa” (fragm. dramatu).
- P. Czyżowa — Amatorski teatr robotniczy.
- J. Huszcza — Humor i satyra wobec publiczności.
- J. Wojciechowski — Kartki z kalendarza.
- L. Kolakowski — Obskuranci wobec nauki.

ORGANIZACJA I CZYNNIK NAJWAŻNIEJSZY...

Ostra krytyka J. A. Króla, jaką przeprowadził w stosunku do Kół Młodzieży Wiejskiej i Uniwersytetów Ludowych, jak również inspekcja świetlic robotniczych i festiwalu świetlicowych zespołów Związków Zawodowych, wykazały, że praca kulturalno-oświatowa ograniczała się często tak na wsi jak i w mieście, do koszlawych imprez widowiskowych i tańców. Natomiast działalność oświatowa, czyli **samokształcenie oraz czytelnictwo** książek i gazet w wielu świetlicach w ogóle nie miało miejsca. Taki stan pracy kulturalno-oświatowej był sprzeczny z samą jej nazwą, a pochodził z czasów kapitalistycznych, kiedy to dla wyzyskiwaczy, dla fabrykantów i dziedziców pożyteczne było, aby młodzież pracującą wyładowała resztki swej energii w zabawie i tańcach lub w „odgrywaniu” bezmyślnych, albo wręcz reakcyjnych „sztuczek”. Przed wojną repertuar KSM „Strzelca” czy Kół Młodzieży Wiejskiej nie bardzo się różniły. Najbardziej odbiegały od tego programy imprez kół „wiciowych”, które wprowadziły inscenizację pieśni ludowych, ale i tu nawet już w Polsce Ludowej można było spotkać przedstawienia sztuk wręcz szkodliwych, skoro młodzież nie mogła znaleźć nic lepszego w repertuarze teatrów amatorskich.

Brak smaku i klasowego podejścia do repertuaru przedstawień wiązał się, rzecz jasna, z kompletnym zaniedbaniem pracy oświatowej oraz nastawieniem na niewybredną rozrywkę i łatwy zarobek organizacyjny.

Na polu pracy kulturalno-oświatowej istniał do końca 1948 r. stan bardzo smutny. Każda organizacja społeczna prowadziła pracę kulturalno-oświatową w swoim zakresie, nie troszcząc się o całość potrzeb chłopów i robotników. Praca ta była dublowana przez ministerstwa. Co gorsze, powstawał wręcz fałszywy obraz rzeczywistości kulturalno-oświatowej; dochodziło do wyłudzenia na ten sam cel pieniędzy z różnych źródeł. Wiele np. świetlic było zarejestrowanych jednocześnie w Ministerstwie Oświaty, w Ministerstwie Kultury, w ZSCh i w ZMP. Świetlice te ubiegały się o pieniądze ze wszystkich źródeł i wszędzie składały sprawozdania z tej samej pracy, często fikcyjnej bądź wyolbrzymionej. Urzędnicy z ministerstw i kuratoriów, jak również organizacje społeczne, chcąc się wykazać osiągnięciami — podawały chętnie zgłoszone wyniki jako własne. Podobnie robiło wiele uniwersytetów ludowych. Był to swego rodzaju dziłki handel, połączony z zachwalaniem wątpliwego towaru i ze staroświeckim targowaniem się o subwencje. W praktyce dochodziło do tego, że organizacje kulturalno-oświatowe głaszały budżety kilkakrotnie większe, niż mogły wykonać, a władze państwowe skreślały 4/5 zgłoszonych pozycji, pokrywając 1/5 zapotrzebowania i obie strony były zadowolone.

W tym stanie trudno było wyłagać pieniądze na najbardziej celowe i uzasadnione potrzeby społecznej pracy kulturalno-oświatowej.

Na szczęście stan ten należy już do przeszłości. Z końcem 1948 r. w dziedzinie kulturalno-oświatowej rozpoczęła się działalność planowa.

*) Fragment referatu, wygłoszonego na Plenum Zarz. Gł. ZSCh. w dniu 21 VI 49 r. (Jadwiga Siekierska „Kućnica” Nr 24 z dnia 14 czerwca).

Przy Prezydium Rady Ministrów powstała Główna Komisja do Spraw Kultury pod przewodnictwem premiera Cyrankiewicza, składająca się z przedstawicieli ministerstw Oświaty i Kultury oraz organizacji, prowadzących pracę kulturalno-oświatową, jak Związki Zawodowe, ZSch, ZMP, ZNP i inne.

Główna Komisja koordynuje wszystkie prace kulturalno-oświatowe pod względem treści, form i budżetu. Największą rolę w pracy kulturalno-oświatowej wyznaczyła Główna Komisja dwóm masowym organizacjom, a mianowicie Związkowi Zawodowemu i Związkowi Samopomocy Chłopskiej. Te dwie organizacje prowadzą całą pracę upowszechniania kultury w masach robotniczych i chłopskich, przy jak najwyższym współudziale Związku Młodzieży Polskiej i Związku Nauczycielstwa Polskiego, pod fachową opieką resortowych ministerstw. Jako instytucja poradniowa i badawcza został stworzony z części TUR i TUL Instytut Oświatowy Dorosłych. Agendy pracy terenowej tych starych instytucji weszły do Centralnej Rady Związków Zawodowych bądź ZSch.

Zgodnie z zasadami, podanymi we Wrocławiu przez Prezydenta Bierut i rozpracowywanymi w wielu artykułach, referatach i dyskusjach, praca kulturalno-oświatowa nie może rozwijać się w oderwaniu od zadań gospodarczych, produkcyjnych i od przebudowy ustroju rolnego. Musi ona z tego gruntu gospodarczego wyrastać i służyć jako narzędzie wzmagające rozwój produkcji oraz przygotowywać atmosferę przeobrażeń do wyższych form gospodarowania.

Tak, jak określili to wiceminister Sokorski, bezcenny dorobek kultury ludowej ma być

wykorzystany do tworzenia nowej kultury, kultury socjalistycznej. Dlatego musi ustać praktykowane dotąd obrzędowe nabożeństwo sztuki ludowej oderwane od czasu i od życia społecznego, oderwane od walki klasowej. Kultura ludowa nie może się już w naszych czasach rozwijać na bazie analfabetyzmu. Mogą ją rozwijać tylko ludzie piśmienni i czytający, w oparciu o współczesną naukę i technikę. Ludową pieśnią naszych czasów będzie kujawiak o traktorzyście, krakowiak o przodowniku w wyścigu pracy na wsi, mazurek o parobku, wyzwalającym się spod ucisku bogacza wiejskiego, pieśń o człowieku przeobrażającym przyrodę i siebie samego. Pieśni te będą tworzyć harmonijny repertuar z krakowiakiem o Jakubie Szeli, z buntowniczą pieśnią chłopca pańszczyźnianego oraz z hymnem z czasów Deczyńskiego „Gdy naród do boju”.

Związek Samopomocy Chłopskiej musi wytworzyć w swej pracy kulturalno-oświatowej nowe treści życia społecznego wsi, jak również ująć tak we właściwe formy organizacyjne nurt pracy kulturalno-oświatowej, żeby można było opracowywać i wykonywać w tej dziedzinie wyraźnie określone plany w przewidzianych terminach.

Jakkolwiek ponosimy główną odpowiedzialność za upowszechnienie kultury na wsi, to jednak nie jesteśmy osamotnieni. Naszym najbardziej bliskim współpracownikiem jest Związek Młodzieży Polskiej i on wniesie najwięcej inicjatyw i treści do prac kulturalno-oświatowych. Ale przecież podeprą nas i partię polityczną, pomogą nam rady narodowe, współdziałać z nami będą władze oświatowe i nauczycielstwo. Wreszcie spółdzielnie gmin-

ne Samopomocy Chłopskiej wyraźnie postawiły w swym statucie popieranie pracy kulturalno-oświatowej. Jeszcze muszę wymienić jednego z głównych sprzymierzeńców w pracy kulturalno-oświatowej na wsi, a mianowicie Centralną Radę Związków Zawodowych oraz Związek Robotników Rolnych. Związki Zawodowe mogą się poszczycić już bardzo pięknymi osiągnięciami w tej dziedzinie, tak w pomocy bezpośredniej, głównie w postaci cennych bibliotek, jak również i w ramach łączności miasta ze wsią. Niewątpliwie Związek Samopomocy nie pozostanie dłużny Związkowi Zawodowemu przynajmniej w dziedzinie występów naszych zespołów w mieście, bo z inwestycjami materialnymi nie będziemy się angażować — jako że jesteśmy biedniejsi od Związków Zawodowych.

Czy nasz aparat i organizacje, które wymieniliśmy, zdołają upowszechnić kulturę na wsi? Nie, absolutnie nie! Droga organizacyjna nie potrafią tego samego zrobić, choćby wylazły ze skóry! Najistotniejszym czynnikiem, który zdoła to zrobić, jest sam lud, są masy młodzieży wiejskiej, kobiet i starszych chłopów. W masach chłopskich, a zwłaszcza wśród młodzieży wiejskiej tkwi olbrzymia siła tęsknoty do oświaty i kultury, tkwi przez wieki gromadzona siła buntu przeciwko upośledzeniu kulturalnemu. Jest to siła żywiołu. Wszystkie natomiast nasze zabiegi organizacyjne mają wyzwolić tę siłę i planowo nią pokierować. Pastuchowi — sierocie, który chodzi po zimnej rosie bądź w skwarnej upale za ogonami krów bogacza wiejskiego, śni się kurs przygotowawczy do uniwersytetu, inny znowu grając na wierzbowej fujarce, marzy o szkole muzycznej. To nie jest deklamacja. Przeczytajcie „Stare

i Nowe” Lucjana Rudnickiego, gdzie autor ten opisuje, jak będąc 8-letnim pastuszkami maczyny gęsi, wydzierał z ognia palone przez sanitariuszy księgi po zmarłym na cholerę proboszczu. Przeczytajcie sobie dzieła siatki żydorysów tych pastuchów i parobków, którzy przez kursy przygotowawcze dostali się na politechnikę. Przypomnijcie sobie choćby nasz egzamin wiejskich muzykantów.

Wyzwalać i organizować żywiołowy ruch mas może tylko działacz, ideowiec. Urzędnik organizacyjny nic tu nie robi. Tylko bowiem ideowy działacz społeczny może zrozumieć potrzeby mas ludowych i przodować w pracy, przewidując następne etapy rozwoju i przygotowując dla nich grunt. Dlatego też praca kulturalno-oświatowa ZSch i wielka ofensywa, do jakiej przystąpiliśmy, nie może być traktowana jako forma urzędowania. Tu musi być działalność, inicjatywa, poświęcenie, których się nie da zmierzyć grupą uposażenia lub ilością godzin nadliczbowych. Nie może ona polegać na formalnym biurowym załatwianiu spraw i interesantów chłopskich. Takie urzędowanie psu na budę się nie zda w ofensywie kulturalno-oświatowej.

Załady gromadzkie i gminne, prezydium Zarządów powiatowych i wojewódzkich oraz Zarząd Główny ZSch stoją wobec egzaminu, który wykaże, czy wieś polska ma istotnie ideową masową organizację, czy też reprezentowana jest przez drabinę małodusznych urzędników, oderwanych od mas i nie mających z tymi masami wspólnego języka.

Ja, koleś, wierzę, że ZSch jest coś więcej wart i że nie zawiedzie zaufania chłopów i rządu ludowego.

Stefan Ignar

Bronisław Chęciński

KOMUNIKATY W WIERSZOWANE

Wiersze Bronisława Chęcińskiego, autora drukowanego niedawno w naszym piśmie poematu „Strajk we wsi Drewnianej” to komunikat z warsztatu nowej literatury mas ludowych. „Tematy do wierszy czerpałem bezpośrednio z życia współczesnego i autentycznych wydarzeń społecznych” — pisze autor w liście do

redakcji. Literatura ta użytkowuje WSZYSTKIE POTOCZNE FORMY SPOŁECZNEGO POROZUMIENIA. Rozwija komunikat radiowy i notatkę dziennikarską, komentuje terenowe sensacje. Forma wierszowa organizuje tu treści bardzo jeszcze artystycznie surowe, heroizuje specyficzne dokumenty, świeże-

go triumfu klasowego. Powstaje pieśń o wielkiej zmianie:

„Nie tylko jeden Janek Kaniewski, ale inni jego rówieśnicy

a za nimi całe bataliony od dołu falą popłyną i uderzą w sztukę”.

Mamy prawo i obowiązek zwrócić uwagę pisarzem i działaczom z pola kultury i oświaty na ten nurt potocznej wypowiedzi, który napiera na poezję, dlatego że w nim już wiele momentów walki i zwycięstwa klasowego mocno się osadziło, bogacąc ten nurt o nową fabułę i formę.

REDAKCJA

DZIECI NIEŚLUBNE

Moja matka miała pięcioro nieślubnych dzieci.
Mówili: taka, owaka —
i ja, banita praw obyczajowych,
rosłem surowo,
a ze mną moich czterech braci.

Cieężko było i przykro, i wstyd,
a matka nie, tylko często zaciskała w zgrzyt
zółtkę zębów i wstając ze słońcem
harowała.
Harowała dosłownie czarnymi rękami,
aby jej nieślubni, mali proletariusze,
mieli choć po tej kromce chleba, gdy z barłogu wstaną.

Czas się z nami nie pieścił,
traktował nas wrogo,
a myśmy jakoś rośli
i rosnąc nie bardzo wierzyliśmy w Boga.
Bo jakże można pozwolić na krzywdę biednych dzieci
i jak takiemu Bogu może słońce świecić.

Mówili na nas: komuniści,
nie było miejsca w życiu dla dorastających,
więc przyginaliśmy swoją młodość.
Szkola? Tak, w szeregach bezrobotnych lub strajkujących.

A dzisiaj taki pan Kołtuński zgrzyta zębami,
lub dla odmiany zjadliwie się uśmiecha.

Milcz Kołtuński i nie pchaj nieczystego dzioba,
myśmy przenicowali twe czarne sumienie.
Nowa Polska nie musi się tobie podobać,
a pieszcząc siebie w myślach, nie udawaj,
że troszczysz się o jej zbawienie.

Właśnie nadchodzi i dzień sprawiedliwy nam niesie:
dla wszystkich nieślubnych dzieci
znajdzie się w niej sprawiedliwe miejsce.

I matką moją ta Polska nie pogardza
i ma czas, by szacunkiem jej czarne ręce obdzielić.

INACZEJ

Spotkano w 1945 we Wrocławiu człowieka,
który patrząc na dymiące mury,
ironicznie pod nosem się uśmiechał:

I któż to odbuduje, kapitału trzeba,
bo kapitał dać może pracującym chleba.

Potrząsnął magicznym słowem „Ameryka” i odszedł.
Machnięcie jego ręki zawisło w powietrzu.

Jakoś po małych trzech latach widać ślady ruinoburczej pracy.

Bez cudotwórczości amerykańskiego kapitału,
wznoszą ze śpiewem, piętro po piętro, młodzi, junacy,
a starzy ludzie po trochu im pomagają.

I rośnie nowy Wrocław,
i rośnie nowa Warszawa,
sięgają młodzi po życie.

LOT NAD POLAMI

„Największe zainteresowanie lotnictwem wykazuje młodzież wiejska”,

mówi komunikat prasowy.

„Obecnie szkolić się ona może na kursach Przysposobienia

Lotniczego w Rządzkowie.

Na sterach samolotu trzymając ręce od pokoleń do pługa nawykłe, pewnikiem, szybując międzymurnie, będą strzelać chłopskimi oczami na pola i między znajome opłotki. Ładować sercem na łąkach między polami, a lecać, równocześnie skrócą drogi między miastami. Dzięki temu zbliżą się miasta do wsi i ta kultura, której trudno się było przedrzeć za miejskie opłotki, stanie się najpowszechniej obywatelowi płaconym podatkiem. (Samoloty nie bomby będą wróżyć, ale upartymi śrubami przewiercając dale, wiedzę czarno na białych drukowaną księgach, w swoich kadłubach nosząc, rozpowszechniać będą).

EGZAMIN

Oto stoi przed komisją egzaminacyjną kandydat na artystę, w postaci piętnastoletniego chłopca. W rękach instrument, a na twarzy widać wyraźnie, że reguła sztuki nie są mu już zupełnie obce.

Właśnie w związku z tym nasz Janko Muzykant przeżywa dzisiaj spore święto. Można by się tu patetycznie unieść, ale nie ma potrzeby, bo mimo pewnej niezwykłości, jest to fakt zasadniczo prosty i w długim szeregu przechodzi do historii.

Oto kilkudziesięciu Janków, młodych chłopów i robotników, przyjmuje się dziś do Warszawskiego Konserwatorium. Za lat parę taki Janek Kaniewski zagra Chopina i przypuszczalnie cała Polska będzie go słuchać i może powie, że lepszego pianisty od niego nie ma.

Nie tylko jeden Janek Kaniewski, ale i inni jego rówieśnicy, a za nimi całe bataliony od dołu falą popłyną i uderzą w sztukę i pod wyczulonymi doświadczeniem palcami zamienią ją w powszechną szczęścia naukę, szczęścia, które jak chleb zwykły między nami stanie.

TO NIEPRAWDA, ŻE...

To nieprawda, że człowiek przy blasku gwiazd musi wypruwać swe siły, ażeby inny mógł bezkarnie porastać w luksusowy tłuszcz. To nieprawda i nie dojdzie do tego, aby się takie rzeczy u nas powtórzyły.

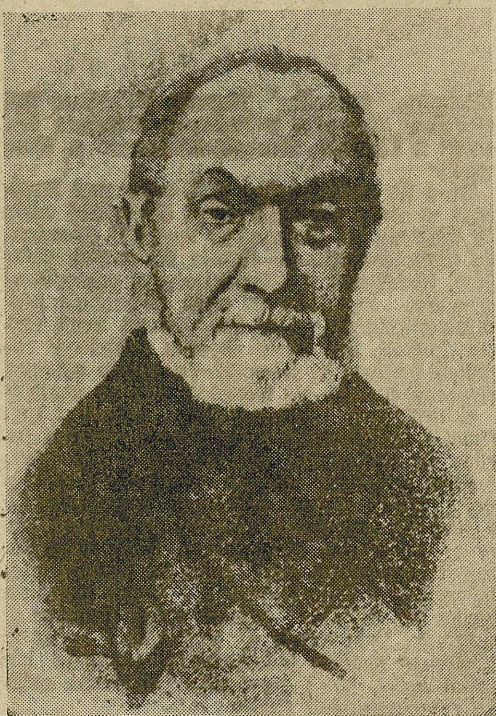
Na wyzysk społeczny nie pozwolimy, i już! Pan Fabrykancki, pan Obszarnicki i pan Kołtuński niechaj też pracują osobiście i rękami, ale uczciwie, bez ciemnych macherek. Jeżeli nie, to niech się wynoszą do jasnej cholery! Kiedy na całym świecie Fabrykanckich, Obszarnickich i Kołtuńskich

dobrze za łeb weźmiemy, to i zbiorowe zbrodnie, organizowane przez nich wojny, znikną z powierzchni czasu i ziemi.

P. S.

Gdyby ktoś stojący z boku nie rozumiał dokładnie o kogo w słowie „my” chodzi, należy go objaśnić: „My” to znaczy my ciałem i duchem młodzi.

O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii (II)*



Jan Wincenty Mazurkiewicz (1813-1887)
(Prawdopodobnie autor artykułu „Położenie klasy robotniczej w Anglii”)

Autor przechodzi następnie do pojedynczych gałęzi pracy. O ile tylko da się — krótko wyłożymy ich różnice. Pojedyncze gałęzie pracy idą po sobie w tym samym porządku, w jakim szerzył się między niemi ruch przemysłowy, który w XVI w. okazał się w Anglii. Wyrobniicy każą się klasyfikować znowu podług pracy, jaka stanowi ich zatrudnienie. Na czele wyrobniików stoi proletariatus przemysłowy złożony z tych ludzi, do których rozciąga się akt fabryczny — to jest ustawa urządzająca pracę w najgłówniejszych rozłogach przemysłu angielskiego. Jest to klasa robotników najliczniejsza, najstarsza, najoświecieńsza, najśmielsza, a z tego powodu bardzo niespokojna i od mieszczan niesłychanie zniechęcona. Prym mają w niej wyrobniicy z fabryk bawełnianych, równie jak ich panowie pomiędzy klasą mieszczańską.

Przez ciągle zjawiające się poprawy w mechanizmie tej gałęzi przemysłowej (coraz więcej wyrobniików zostaje bez chleba, a kobiety i dzieci pozbawiają ich pracy. W Stockport, gdzie w r. 1835 pracowało 800 przadków męczyzny, w r. 1843 mogło mieć pomieszczenie już tylko 140, pomimo to, że przemysł bawełniany ciągle wzrastał. Każde jakieś takie polepszenie wywiera na wyrobniików wpływ przesilenia handlowego. Tu napotykałyśmy zupełne rozwinięcie się rodziny. Kobiety, które cały dzień pracują w fabryce, nie są w stanie zadość uczynić swym obowiązkom względem domu; a nawet ponieważ od samej młodości są w ten sposób zatrudnione, przeto nie znają żadnej wprawdy i poprostu nie umieją być u siebie gospodyniami. Nawet obowiązkom macierzyńskim nie czynią zadość; czas połogu ile tylko możliwości, zmuszone są skrócić, bo przez długie niestawienie się do pracy mogłyby stracić we fabryce swoją pracę wyrobniczą. Przed połogiem kobieta zatrzymuje się przy pracy fabrycznej dopóki tylko może; nieraz we fabryce gdzie w kacie pomiędzy maszynami zlegnie; zwykle zaś w trzy, cztery dni po odbyciu choroby już przy pracy siedzi. Na karmienie niemowlęcia używają tylko przepisanych spoczynków, w których atoli same jeść muszą. Często się zdarza, że dziecko głodne, a matkę syczą pierś przepelnioną mlekiem, ale maszyna fabryczna nie może się dla dziecka ociągać, tylko idzie swoim biegiem. Jak zły wpływ takie stosunki na utrzymanie w czystości i na wychowanie dzieci mieć mogą, jest rzeczą łatwą do przewidzenia. Praca fabryczna jest wogóle nie ciężka, ale niezmiernie nużąca i uśypiająca. Przesilenie w pracy, ciągłe stanie, bo siadanie zwykle bywa pod karą zabraniane, staje się powodem zwłaszcza u dzieci garbaczyny i innego kalectwa. Wyrobniicy w czterdziestym roku życia są do pracy niezdolni, mało który wytrzyma do czterdziestu pięciu, a prawie żaden do pięćdziesięciu. U kobiet przez ciężką pracę organa najżywniejsze przekształcają się inaczej jakby je chciała urządzić natura w celu rozmnażania ludności i często bywają połogi, które zabijają matkę i dziecko. Gorąco zwyczajne po zakładach fabrycznych wywiera niezmiernie szkodliwy wpływ na słabsze i źle żywione dzieci, a zwłaszcza na dziewczynki. Wiele chorób wywodzi początek z urzędów i prac fabrycznych. Wyrobniicy fabryczni mają po większej części bardzo bladą i niezdrową cerę, cierpią na osłabienie całego ciała i według sprawozdań komisji popisu wojskowego muszą być puszczeni do domu jako całkiem niezdolni do służby. Są nie tylko słabi, ale w znacznej części zdrobnieli. Niektóre gałęzie fabryczne wywołują sobie tylko właściwe skutki, a nadwężające niezmiernie zdrowie człowieka. I tak po izbach zakładów bawełnianych i inne włókna rozmaite wyrabiających, wznoszący się w powietrzu proszek włók-

nisty bardzo szkodzi na płuca, mokre przeżucie lnu niweczy całkowicie zdrowie bardzo wielu dzieci. Do tego wszystkiego trzeba doliczyć wypadki nieszczęśliwe, które przy maszynach fabrycznych są zwykłą rzeczą. Najczęściej zdarzają się one przy czyszczeniu maszyn, bo wyrobniicy spieszą się, aby przez spoczynek nie uszczuplić sobie i tak drobnego dochodu. Po Manchesterze nie tylko więcej jak gdzie indziej jest ludzi garbatych i kalek, ale i z poobrywanymi rozmaitymi członkami: ten bez ręki, ów bez nogi; wygląda ludność jakby jakieś wojско, co z długiej wojny do kraju wróciło.

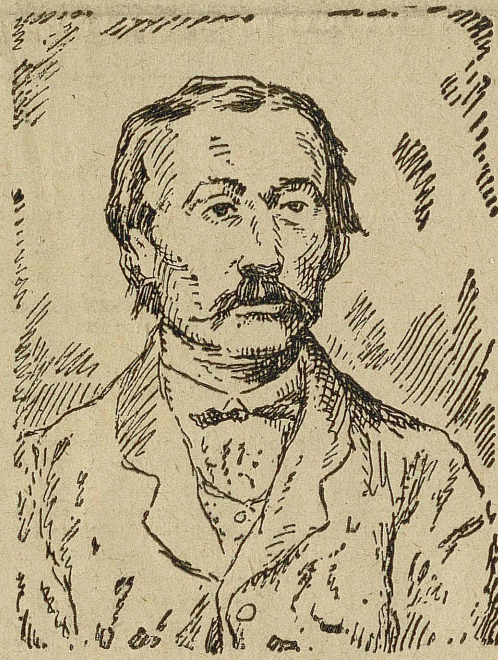
Autor przechodzi teraz do burzenia się i rozruchów w klasie wyrobniczej, w której widać nie mało gwałtowności i dzikości, ale trzeba pamiętać, że wojna specjalna w Anglii się toczy jawnie; mieszczaństwo prowadzi ją podstępnie z udawaniem filantropji; wyrobniicy zaś ze zupełną otwartością. Najpierwszą, najdzikszą i bez namysłu zaprowadzoną opozycją była kradzież, która nigdy nie mogła być uznana za reprezentantkę opinji publicznej. Potrzeba przełamała zakorzenione poszanowanie własności, za kradzież na stało gwałtowne burzenie maszyn, jakkolwiek i ten rodzaj opozycji pozostał tylko na bardzo cząstkowym stanowisku. Podczas takiego stanu rzeczy w oligarchiczno-torysowskim parlamencie utrzymał się bil, który dozwolił wyrobniikom zawiązywać stowarzyszenia. Już wcześniej istniały tajemne stowarzyszenia, a w skutek nich w wielu miejscach poporzucano robotę, lecz tajemność stała zawsze na przeszkodzie należytemu rozwojowi. Od roku tedy 1824, pomiędzy wyrobniikami wszelkich gałęzi pozawiały się stowarzyszenia z głośno wyrażonym celem bronięcia ludzi pracy od napadów i tyranji mieszczańskiej. Stowarzyszenia te układały się z fabrykantami względem stosownego wynagrodzenia pracy, starały się ograniczać przyjmowanie uczniów, zapobiegały na wszystkie strony uszczuplaniu dochodów wyrobniiczych i wspierały robotników, którzy pozostali bez chleba. Niekiedy stowarzyszenie jednej gałęzi przemysłowej rozciągało się przez całą Anglię; nie przyniosło to nigdy skutku mającego pewną trwałość, a tylko podsycalo zaburzenia. Srodek, za pomocą którego stowarzyszenia swój cel osiągały, był zawsze albo cząstkowym, albo ogólnym usunięciem się od pracy. W cząstkowych usunięciach fabrykanci zawsze potrafili sobie dać radę, a robotnicy dopuszczali się nadużyć, które ich poddały odpowiedzialności sądowej i tym sposobem siła stowarzyszenia sama się niweczyła. Ale nawet ogólne usunięcie się od pracy nie przynosiło skutku, gdyż wyrobniicy nie byli w stanie zmienić zasad całej ekonomji. Wogóle wszystkie te związki i stowarzyszenia pod względem zapobieżenia głównym przyczynom, pozostały zupełnie bez skutku i jedynie położyły tamę samowładnemu zniżaniu zapłaty wyrobniczej. Wszystkie zawieszenia w pracy obracają się nawet na szkodę wyrobniików, ale powinny jednakże ciągle protestować przeciw zniżaniu płacy i przeciw konieczności tego zniżania, bo do nich należy występować z oświadczeniem, że wyrobniicy, jako ludzie nie powinni koniecznie stosować się do okoliczności, ale mają prawo dążyć do tego, aby okoliczności do nich się stosowały; bo ich milczenie byłoby uznaniem, że mieszczanie w korzystnej porze handlowej mają prawo łowić zyski z pracy wyrobniczej, a w niekorzystnej dopuszczają, aby wyrobniicy umierali z głodu. Wyrobniicy muszą protestować, dopóki tylko nie zatracą do szczeru całego ludzkiego uczucia, a że na tej nie zaś na innej drodze protestują, robią mądrze, bo myśl przytwardzającą czynem. Zawieszenia pracy przynoszą i dalszy skutek, a mianowicie, dodają ducha opozycji, wyrobniicy zaś codzień coraz bardziej przychodzą do przekonania, że zawieszenia pracy nie są wcale dostateczne do ukrócenia przewagi mieszczańskiej. To atoli stowarzyszeniem wyrobniiczym i z nich wynikającym zawieszeniom pracy najwięcej daje wagi, że stanowią niejako początek usiłowań wymierzonych na zniweczenie konkurencji. Prawda, że znoszą tylko pewną część konkurencji, to jest między sobą, co do pracy, ale na tym nie mogą poprzestać, muszą iść dalej i muszą znieść konkurencję na wszystkich stanowiskach. Z której strony należy to wielkie dzieło zacząć, rozpatrzają się wkrótce.

Nigdzie wyrobniicy nie niweczą bardziej zarzutu, iż im brakuje odwagi, jak przy wielkich zamieszaniach pracy, bo istotnie trzeba mieć bardzo silne postanowienie, aby odważyć się na kilkumiesięczny głód z żoną i dziećmi; wystawić się na niewątpliwą zemstę mieszczaństwa, którą po odniesieniu zwycięstw z pewnością wyrwie, a przecież pozostać przy oporze, dopóki tylko opór nie okaże się nadal zupełnie bez celu. Równie wielkiej wagi jest to, co mówią o przestrzeganiu ustaw krajowych ze strony wyrobniików: tylko dla mieszczanina ustawy są święte, bo są jego dziełem, a za nimi upatrzyli sobie zysk i za nie się kryje. Wyrobniicy stale domaga się zmiany ustaw i występują przeciw nim ze swoją chartą ludową, co do formy czysto polityczną, tylko dopominającą się formowania parlamentu, którejby atoli z pewnością pociągnęło za sobą zmianę całej konstytucji, opozycji przeciw mieszczaństwu, która to opozycja przedtem rozstrzeliwała się na stowarzyszenia i zawieszenia pracy.

Położenie proletariatus gminnego** nie

jest pomyślniejsze, jak położenie proletariatus przemysłowego. Niezdrowe powietrze w kopalni staje się powodem wielu chorób, a mieszczański, któremu chodzi tylko o napełnienie worka pieniędzmi, woli, że tysiące ludzi giną, aniżeli miałby wydać kilka tysięcy funtów szterlingów na porobienie otworów przewiewnych. Praca od dawniejszej młodości, praca zawsze zbyt ciężka, pociągająca za sobą kalectwa, a w połączeniu z chorobami ukraca życie górników. Moralność niekiedy w przeciwności pracy, już z tej przyczyny, że nieustanne znużenie łatwo rozwija nałóg pijaństwa. Dla zbytniego gorąca mężczyźni, kobiety i dzieci pracują wspólnie prawie nago; miejsca noclegowe są wspólne i w ciasnych obrębach, co dobrego wpływu na uobczywanie nie wywiera. Eksplozje i inne wypadki w górnictwie zdarzają się, a to częstokroć, że dla skąpstwa właściciela nie starano się pozaprowadzać sposobów zaradczych, skracając nędzne życie górników. Szkodliwe i zapalne gazy gromadzą się w jaskiniach wyłomowych, a robotnik ma się przez lampę od nich chronić, kiedy na to tylko porobienie przewiewów, skutecznym środkiem być może. Strzeżenie zaś drzwi przedzielających jedne chodniki od drugich, poruczone bywa małym dzieciom, które często usypiają i drzwi pozostają otworem, przez zapalenie się gazów pożar może natychmiast przez całą rozszerzyć się kopalnią. Tym sposobem ginie w Anglii corocznie 1400 ludzi, a inspekcja sądowa względem śmierci, zostaje zapisywana w liczbę śmierci przypadkowych, choć to właśnie są śmierci ze skąpstwa i niedbalstwa bogatych przedsiębiorców kopalnianych. Najsmutniejszym jest położenie robotników w kopalniach węglowych; są oni także najmniej wyszkoleni.

Długo wyrobniicy znosili spokojnie ten ucisk: duch opozycji początkowo zaczął się objawiać po okolicach fabrycznych, gdzie się znajdowali wyrobniicy wyższego wykształcenia; potworzyły się stowarzyszenia, a tu i ówdzie zawieszano pracę. Wielki obwód kopalni węgla w północnej Anglii przy tych ruchach pozostawał ciągle w tyle aż do r. 1843, ale nareszcie i w nim zaczął się także objawiać duch oporu. Górniicy z Northumberlandu i Durhamu stanęli na czele stowarzyszenia górniczego w całym państwie i obrali sobie Roberta na generalnego prokuratora. Na dniu 31 marca 1844 r. ułożyli wszystkie kontrakty służbowe wyrobniików górniczych w tych dwóch wspomnianych obwodach; wezwali oni Roberta, aby im ułożył formularz prawny na kontrakty, który przedłożyli „królom kopalni“, to jest



Walenty Stefański

posiadaczom, a gdy ci ani przyjąć formularza, ani uznać unji wyrobniczej nie chcieli, zawieszono pracę w kopalniach. Czterdzieści tysięcy górników stanęło bez zatrudnienia i do długiego oporu gotowych. Fundusze stowarzyszenia zabezpieczyły im na kilka miesięcy utrzymanie; Roberts objeżdżał całą Anglię, organizował agitację, zbierał składki i rozpoczął niejako wojnę przeciw sędziom pokoju i właścicielom kopalń. Była to ciężka walka, gdyż wyrobniicy toczyli ją o głódzie i w największej nędzy, gdyż na koniec zabrakło funduszy, a składki nie wystarczały. Mieszczaństwo pozbawione komornego, wypędzało górników z mieszkań, którzy musieli obozować pod gołym niebem w dzdzy-stej jesieni, a nawet groźbami zmusiło kramarzy do odmawiania wzburzonym górnikom kredytu, mając zamiar nakłonienia ich albo do pracy, albo do gwałtów, a wskutek których rząd byłby zniwolonny wystąpić ze siłą. Górniicy jednakże do pięciu miesięcy przetrwali w uporze, a nie dali się do gwałtu żadnego doprowadzić. Dopiero kiedy właściciele kopalń nasprawiali z ogromnym kosztem górników aż z Wales i innych prowincji, przez co zupełnie odnieśli zwycięstwo, wtenczas górniicy jako pokonani, weszli w układy i wrócili do kopalni. Unja rozwiązała się. Roberts musiał porzucić prokuratorstwo generalne unji, ale za to, do trzydziestu tysięcy górników, dobrze uzbrojonych pomnożyło związek charytatywny; publiczna opinia obróciła się ku górnikom i zaczęto

o ich położeniu w parlamencie mówić. Wkrótce po tem w kopalniach zdarzyło się kilka wypadków eksplozyjnych i Roberts przedłożył pierwszemu ministrowi powody tych nieszczęśliwych eksplozji, a minister oświadczył, że się zajmuje losem górników i na parlamencie z r. 1845 uczyni stosowny wniosek. Zaledwie rozeszła się wiadomość o rozwiązaniu owej unji, kiedy wystąpili górniicy w Lancashire i stanowiąc liczbę do dziesięciu tysięcy, znowu Roberta zamianowali swoim prokuratorem i wyznaczili mu tysiąc dwieście funtów szterlingów rocznej pensji.

Przy końcu dzieła, Engels rozpatruje się ogólnie w stosunku mieszczaństwa do proletariatus i powiada: „Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć klasy ludzi równie zdemoralizowanej, popyśtej, rozprężonej i do żadnego postępu nie zdolnej, jak jest mieszczaństwo angielskie — a zwłaszcza to liberalne mieszczaństwo, co to woła o zniesienie ustaw zbożowych. Dla niego nie istnieje nic na świecie, co by nie było dla pieniędzy stworzone, nawet siebie uważa tylko za narzędzie, za grzebadło do zagarniania pieniędzy. Nie zna żadnej wyższej uciechy nad dobry zysk, żadnej innej boleści jak z powodu utraty pieniędzy. Przy tej chciwości, przy tym łakomstwie na pieniądze jest niepodobniestwem, ażeby choć jedno ludzkie zapatrywanie na przedmioty całkiem zwicnięte nie zostało. W zwykłym życiu mieszczanin angielski wygląda przyzwodzie i obudza dla siebie pewien szacunek, ale w ostatniej instancji zawsze pieniądź jest u niego miarą na przedmioty całego świata. Wszystko mu jedno, czy wyrobniicy opływają w dostatki, czy umierają z głodu, kiedy tylko on zyskuje.

Wszelkie stosunki życia oceniają się podług pieniędzy, a co nie przynosi pieniędzy, jest głupstwem, pomysłem niepraktycznym, idealnością. Dlatego ekonomja polityczna stała się ulubioną umiejętnością Anglii. Stosunek fabrykanta do wyrobniika nie wypływa z człowieczeństwa, ale z ekonomji politycznej. Fabrykant angielski jest żywym kapitałem, a wyrobniicy jest żywą pracą. Nie może więc pojąć fabrykant, skąd wyrobniicy byłby w stanie domagać się równego z nim stanowiska jako człowieka; nie może pojąć, aby z wyrobniikiem mógł on stać w innym stosunku, jak kupna i sprzedaży. Nie widzi w nim brata, ale widzi tylko u niego ręce do pracy; nie uznaje żadnego innego ognia, co wiąże człowieka z człowiekiem jak wypłatę gotówką. Nawet stosunek męża do żony odciążając może jeden przypadkiem na sto, jest wypłacaniem gotówką. Sam język ma formy niewoli pieniężnej, bo zamiast mówić: on posiada dziesięć tysięcy, mówi się: on jest wart dziesięć tysięcy. Oświecony Anglik stara się tej chciwości nie okazywać i udaje obojętność na pieniądze. Płaci pilnie podatki na ubogich, wnosi składki do instytucji dobroczynnych, ale właściwie przez to, że odrobnie zarobku, który wraz z ciężkim potem wyciskał z ubo-giego wyrobniika, zwróci jako dobrowolną ofiarę na jego dobro sądzi, że okupuje sobie prawo, aby się od niego nikł już więcej nie domagał. I w rozmowach mieszczaństwo rozkłada się nad ludzkość, ale to tylko wtedy, kiedy taka rozmowa może się pieniędźmi od-płacić. Ekonomja polityczna przybiera także postać chytnej tylko rozprawy, aby mieć zarobek i od pięciu lat stara się ona uzasadnić, że zniesienie ustaw zbożowych leży jedynie w interesie wyrobniików. Najważniejszym wypowiedzeniem wojny proletariatusom przez mieszczaństwo jest Malthus'a teoria ludności, w której stoi śmiało wyrzeczona zasada, iż szaleństwem byłoby mniemać, że każdy człowiek urodzony ma prawo domagać się, aby mu był podany środek utrzymania się przy życiu; dlatego nie ma przyczyny, aby zbyt dużą ludność starać się przemienić na użyteczną, owszem trzeba dopuszczać i starać się, aby niekiedy z głodu sobie umierali, a zapobiegać aby proletariatus nie dostarczał społeczeństwu wiele dzieci. To szlachetne pomysł!

„Takie jest położenie ludu angielskiego, powiada Engels, według tego com widział i w urzędowych sprawozdaniach wyczytał i gdy to położenie uważam za najnieznośniejsze, jakie tylko być może, nie sam jeden z tem występuję. Już Gaskell, r. 1833 oświadczył, że wątpli, aby to wszystko na dobrej drodze załatwić się mogło, i przewiduje tylko rewolucję. Carlyle oświadczył w r. 1838, że trudno pojąć, jak przy chartismie i zabiegach rewolucyjnych wywołanych przez nędzę, lud daje się jeszcze mieszczaństwu liberalnemu, tak pozbawiając czcym frazesami, a w r. 1844, do-dał, że trzeba natychmiast przedsiębrać organizację pracy — jeżeli Europa, a przynajmniej Anglia ma jeszcze przez ludzi zamieszkaną pozostać.”

Może zniesienie praw zbożowych jest bardzo bliskie, charta ma dosyć siły do wywołania wielkiej rewolucji. Musi się lud angielski na koniec zniecierpliwic tem eksploataowaniem przez kapitalistów, albo jeżeli kapitaliści potrzebować go nie będą, z głodu wyginą. Skoro tylko mieszczaństwo angielskie nie uderzy się w głowę i nie zastanowi — a według wszelkich pozorów o tem nie myśli — wtenczas musi wybuchnąć rewolucja, z którą żadna dotychczasowa nie będzie się mogła mierzyć. Im bardziej proletariatus nasycy się pierwiastkami komunistycznymi i socjalnymi, tembardziej bój będzie się toczył z zemstą i wściekłością a naturalnie ze smutnym i okropnym krwi rozlewem. Komunizm podług swej dążeń stoi ponad kłótnią pomiędzy mieszczaństwem i proletariatus; kłótnię tę uznaje tylko za stanowiska historycznego, ale nie pragnie jej na przyszłość, owszem ma on jedyny zamiar tę kłótnię zniweczyć.

*) W skróceniu. Patrz „Wies“ Nr 27.

**) Wiejskiego — przyp. Red.



Tadeusz Różewicz
Foto Dorys — Warszawa

Anna Kamińska

W KRĘGU „NIEPOKOJU” *)

który założył nogę na nogę
który zogniskował w piersieniu
wszystkie światła sali
rozdarł nagle jamę ustną...

I t. d. Wiersz „Epileptyk” jest niezmiernie dla tomiku Różewicza charakterystyczny. Rysując obraz starszego mieszczańskiego pana w smokingu, który uległ nagle atakowi choroby — Różewicz wyraża dziwność świata, w którym cywilizowane mieszczańskie formy pękają nagle, aby ukazać pierwotną dżokę człowieczeństwa i metafizyczną tajemniczość przeznaczenia.

Groteska — ujęcie rzeczywistości tak charakterystyczne szczególnie dla prozy satyrycznej XX. wieku, forma katastroficznych koncepcji światopoglądowych — jest Różewiczowi szczególnie bliska, a to w roku wydania książki 1948.

W formy groteski ubiera się powrót a. m. że nawet ucieczka poety w sferę dzieciństwa, wizja życia zagrobowego, obraz okaleczonej przez wojnę młodzieży, krzyk protestu wobec wojny w wierszu „Gałązka oliwna”.

Na pograniczu groteski i okrutnego realizmu, którego odpowiednikiem w prozie są opowiadania Tadeusza Borowskiego, jest poemat „Przystosowanie”, zwłaszcza wiersz II: „Opowiadanie spreparowanej skóry”. Wstrząsający komentarz liryczny do pozornie beznamiętnej relacji Borowskiego.

Nawet w wierszach, które trudno nazwać groteskami lirycznymi, Różewicz buduje ścianki swej poetyckiej rzeczywistości, swego krajobrazu poetyckiego, ze zdobniczych, umniejszonych rekwizytów, porusza się i każe się poruszać wyobraźni czytelnika w wymiarach zacieśnionych i zwięzłych tak, że nawet impresje liryczne czynią wrażenie świadomą ręką naszkicowanej karykatury rzeczywistości. Z tym wszystkim owa liryczna nitka rzucona na motywy satyry, drwiny i groteski — jest bodaj najsłabszą stroną wierszy Różewicza w omawianym tomiku. Potracą niekiedy aż o młodopolską nastrojowość.

Łamana „awangardowa” forma graficzna wierszy Różewicza bodajże nie odpowiada gatunkowi nastrojowego liryzmu, na którym zbudowane są niektóre wiersze. Dotyczy to np. wiersza „Odwiedźny”, w którym bladość analizy psychologicznej osobistej — jak rozumie czytelnik — sytuacji, podkreślona jest jeszcze przez nieco nonszalancką formę zdania prozajcznego. To także stosuje się do nastroju „smutności”, narzucającego się nawet dość częstym nawrotem tak zdawałoby się w poezji przymiotnika jak „smutny”.

Zdobnicze wizje świata, która niekiedy uzyskuje większą ekspansję dzięki groteskowemu załamaniu, odpowiada pewien minimalizm ideologiczny wierszy Różewicza. Prąd, są one często wstrząsającym w wymo-

wie protestem przeciwko wojnie, są nosicielami idei „gałązki oliwnej”. Jednak w swej poetyckiej argumentacji ograniczają się do jednego niemal tylko motywu — cierpienia biologicznego i jednej idei — moralnego humanitaryzmu. W wierszu „Powrót” maluje poeta groteskowy obrazek rodzinny w wymiarach powszedniego, a w łstocie zagrobowego życia. Poeta, który nagle pojawia się wśród rodziny obok matki robiącej w niebie szalik na drutach i ojca drzemającego nad gazetą — męczy się niemożnością dania im odpowiedzi na pytania.

„Nie — przecież nie mogę im powiedzieć że człowiek człowiekowi skacze do gardła”

„Człowiek człowiekowi skacze do gardła” — na tym wyczerpuje się w moralnej interpretacji poety sprawa wojny. Wojna, będąca głównym problemem poezji Różewicza nie skonkretyzowała się w jego systemie poetycko-ideologicznym w innych przejawach np. społeczno-politycznych czy moralnych, w sferze pozytywnej — sprawy walki, oporu, różnych rodzajów poświęcenia i bohaterstwa.

Nie są to zarzuty rezenzenta, lecz próba opisu przez eliminację. Być może, że ten jeden motyw problemu wojennego: „człowiek człowiekowi skacze do gardła” — osiąga dzięki wyłączeniu czystszy i okrutniejszy wyraz w poezji Różewicza, niemniej trudno nie określić go jako ideologiczny minimalizm. Łączy się z nim i minimalizm perspektyw pokojowych, do których wyrzyna się poeta z „niepokojem” i dochodzi w wierszach z cyklu „Gałązka oliwna”.

„Jestem w ciążę mówisz
będę miał syna mówię
i cieszymy się jak czerwonym
jabłkiem które upadło
w środek
szarego powszedniego...”

„Szare powszednie” czyli rzeczywistość wojenna, codzienność pokoju załadnia się w wyobraźni Różewicza dość schematycznymi motywami „odbudowy”:

„Opowiem mu o Mahatmie człowieku
który został wniebowzięty
jako kosmyk wonnego dymu
o naszych tkaczach górnikach
i drobnych urzędnikach
którzy budowali dom...”

Wprawdzie wiersze cytowane są tylko końcowymi akcentami pogody wprowadzonej zapewne ze względów kompozycyjnych, aby całość nie przedstawiała się już nadto pesymistycznie. Lecz wydaje się, że groteskowa miniatura wojny przechodzi tu w nie mniej miniatury światła pokoju, który za chwilę może się znów przekształcić w rodziną mieszczańską groteskę.

Gdzie szukać przyczyn, dla których najbardziej może utalentowany, wrażliwy i o wyjątkowym poczuciu moralnym poeta najmłodszego pokolenia literackiego — wyraża nie jego siłę lecz słabość — zdawałoby się beznadziejną? Dlaczego trzyma się — inteligentnie wprawdzie podpatrzonych — ale stęplonych narzędzi satyry mieszczańskiej w stosunku do przedmiotu wymagającego jasnego bodaj języka oskarżeń? Dlaczego dopuszcza wynikającą z tego wieloznaczność lub co najmniej niejasność ideologiczną, beznadziejność problemową, a wreszcie więcej dzieło nieprzekonującym i zbyt łatwym optymizmem płynącym ze „świata dobrego i pięknego”?

Na te i wiele innych pytań co do ciekawie zapowiadającej się twórczości autora „Niepokoju” nie potrafie odpowiedzieć w ramach tej recenzji.

Tu tylko pragnę jeszcze zwrócić uwagę na sprawę raczej warsztatową, która jest może jedną z przeszkód Różewicza na drodze do „podejmowania i rozwiązywania doniosłej problematyki naszych czasów”. Jest to sprawa zresztą dość ogólna, a dotyczy remanentów poetyki tzw. awangardowej w poezji młodszego pokolenia literackiego. Różewicz zachował ich stosunkowo najwięcej, choć widać w ostatnim tomiku i żywe przejęcie się poezją francuską ostatnich lat, zwłaszcza Supervielle’a i Eluarda. To, co stał zaczerpnął poeta, łagodzi nieco osłabłość poetyki awangardowej. Ale raz przełamana nie wstrzyma już luźnego często potoku skojarzeń, dowolności, relatywizmu. W poezji w założeniu zwięzłej, lakonicznej, jaką była w swoim czasie wzorcową z pewnością dla Różewicza poezja Przybosa, pojawia się pewne gadulstwo. Wiersz „Wyobraźnia kamienista” jest cały pełen nawiasów i dygresji, a wiersz „Kopiec” zaczyna się od dowolnego wyciszenia przedmiotów — chwytu niezgodnego z dalszym tokiem jednego z piękniejszych wierszy Różewicza.

„Usypali nad nim kopiec
z przejazdów i odjazdów
z czasu i przestrzeni
z ludzi rzeczy zdarzeń
masia kawy gazet
z zielonych pluszowych albumów
bromu kwiatów
i sztucznego śmiechu...”

Wyciszenie staje się już w niektórych wierszach młodych poetów w czasopiśmie maniera, zwłaszcza w bliższych lub dalszych naśladownictwach Nerudy. W jego poematach odpowiada ono panteistycznej koncepcji świata, w którym wszystkie rzeczy są w każdej chwili obecne niby pod powierzchnią i gotowe do zmanifestowania się na wezwanie poety.

Z remanentów awangardowych pozostało Różewiczowi oprócz pewnego zbytniego chęba lekceważenia tradycyjnych rygorów wierszowych i sproszkowania mowy — posługiwanie się metaforą typu „wyrażonego żartu poetyckiego”. Ten rodzaj metafory, w którym świat rzeczywisty uchwycony zostaje w momencie jakiegoś skrzywienia w wyobraźni, jakiegoś grymasu skojarzeniowego — czyni z niektórych wierszy Różewicza małe obrazkowe igraszki. Np. „Zabawa w konie”:

„Kanarek żółty
jak cytryna
w drucianym koszyku
babcia w czepku
złowiona
w siatkę zmarszczek...”

Dowcip poetycki — „babcia złowiona w siatkę zmarszczek” — ma w podobnym wierszu funkcję zupełnie konstruktywną: czyni poezję z rzeczy niepoetyckiej. Ale ten sam żart w wierszu donioślejszej treści, w wierszu o silniejszej ekspresji uczuciowej — staje się anachronizmem rzeczowym, często psuje i mąci wrażenie całości. Takim dowcipem jest w wierszu „Chora w ogrodzie ozdrowieńcy” — ogrodnik, który „z koskami u ramion fruńie z drzewa na drzewo jak anioł w słomkowym kapeluszu”. Takim formalnym dowcipem jest także w najlepszym według mnie wierszu tomiku „Ale kto zobaczy”... słówko „ten” — zawieszone w miejscu najwyższego lirycznego wznieślenia zamiast osobnej zwrotki.

Poetyka tzw. awangardowa wydaje się zbyt ciasna dla tych treści, jakie ma do wypowiedzenia poeta, jakie nasunął mu czas historyczny. Nurt katastroficzny przedwojennego awangardyzmu pozornie tylko nakrył się z motywami wojennej grozy i zagłady. Zbyt wielka była niewspółmierność między obawami a rzeczywistością, przede wszystkim zaś niewspółmierność sensu ideologicznego mieszczańskiego katastrofizmu i czynnego przeżycia wojny. Uczyniło to poetykę awangardową bezradną wobec nowej rzeczywistości, która wymagała od początku języka jednoznacznie ideologicznego, więcej działającego na rozum i poczucie moralne niż bawącego wyobraźnię, niż wyrażającego subtelne odcienie wrażeń psychicznych.

Dla tych i innych zapewne przyczyn „Czerwona rekawiczka” Różewicza odcina się od innych wydanych w bieżącym roku tomików i debiutów poetyckich — pozostaje w sferze pierwszego, debiutowego języka, a język poetycki w tym tomie nie wydaje się jeszcze zdolny do zerwania z moralno-poetycką obsesją Różewicza, wyrażoną najlepiej w małym wierszu na wstępie tomiku:

„Widzę szalonych którzy
chodzili po morzu
wierzyli do końca
i poszli na dno
teraz jeszcze przechylają
moją łódź niepewną
odtrącam te sztywne
dłonie okrutnie żywe
odtrącam rok za rokiem...”

Lesław M. Bartelski

Aby mnie poznać — musisz wrócić
do stron tych, z których ja wyszedłem,
nim odnalazłem świat. Każdy ma swoje
dalekie i ukryte jak bruzda w dłoni
nieznane innym — życie. Tam jest przystań
mych lat młodzieńczych, tam jest kraj,
który kołysał moją młodość.

Urodzony u płomienia — jakżeby mógł iść
nie inaczej jak z płomieniem w garści?
Ruch międzyplanetarny gwiazd był mi
objawieniem — smak wzruszeń, które
chciałem sięgnąć ręką lub oddać,
odtworzyć jak pomnik piórem.

Zapomniałem o ziemi, zapierzony w gwiazdy,
które mi niejaki gotowały los.

Aż przyszedł ogień i życie pochłonął,
jam nie z krwi żywej wtedy był, ani z kamienia —
nad wieczorem, ścigany po drodze gwiazd
uciekłem, gdzie u źródeł nocy szukano
ucieczki z przerażenia.

A potem sam wtrącony w ogień
szukałem swego domu:

łopian rósł i cegła na cegle.

Śpiewałem kłeskę, nie widząc, że koło mnie
spoceni upałem lata wapno rozcierały w skrzyni,
mieszając je z wodą. Skrzypiały dźwigi.
Wyładowano z samochodów cement, rosła cegła przy cegle.

Znoszono deski na rusztowania.

Chciałem być poetą ruin. Syпки kształt
ma dom do fundamentów zrujnowany,

lecz nieść go w górę, czytać z planów —
było za trudne dla mnie.

Dziś wiem — widziałem swoją kłeskę.

Zanadto wierzyłem w niebo,
rece wznosząc jak czuby sosen,
miałem lzy na palcach: obcierałem oczy,
a z daleka płynął woda plusk tętniących wiosel,
a z daleka łódź robotników niosła,
szły marmury Wisła na nadbrzeża,
mieszano beton i stal,
i nowe miasto rosło.

I wtedy rozumiałem — wszelkie prawdy
zawarte w książkach oraz w naszych czynach,
są te, które przynosi wolny człowiek.

Kto czyta — nie każdy rozumie.

Nie każdy, kto rozumie — wierzy.

Aby iść naprzód, nie cofać się w tył,
trzeba mieć wiarę podobną żołnierzom,
wykutym ze stalowych brył.

I uwierzyłem — człowiek w człowieka.
I jestem wolny. Oto moje credo.

Z tomu „Patrol między murami”, który ukaże się niebawem nakładem
Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”.

Pierwszy tomik Tadeusza Różewicza „Niepokój” (1947) spotkał się z bardzo życzliwą krytyką, jak żaden w tym okresie debiut poetycki. Wszystkie niemal recenzje wyrażały nadzieję na dalszy rozwój talentu tego poety i nastawiały uwagę na to, co nastąpi po „Niepokój”. Stefan Lichański w „Twórczości” (styczeń, 1948) w przekonującej recenzji wyrażał nawet opinie, która młodego poety mogła najbardziej ucieszyć, a jednocześnie obciążyć odpowiedzialnością, że mianowicie pisarska postawa Różewicza może uczynić go zdolnym do „podjęcia i rozwiązania doniosłej problematyki naszych czasów”. Nie ma chyba większej i „bliższej ciachu” ambicji poezji współczesnej, a zwłaszcza poezji młodszego pokolenia, jak właśnie podejmować i rozwiązywać problemy naszego czasu.

Zarzuca pod adresem młodszych poetów, że zbyt mało interesują się problematyką formalną literatury, że zbyt mało się na niej znają — zarzuty te chociaż może i słuszne — idą w bok, nie doceniają „niepokój” i lekko małości odczuwanego przez ambitniejszych poetów, niepokój, który każe im nie raz zbyt niecierpliwą ręką sięgać po wzory społecznej poezji Majakowskiego, współczesnych poetów sowieckich, czy biblijno-politycznej poezji Pablo Nerudy. „Małość” tkwi oczywiście w ich pojęciu w formalistycznych zabawach przypisywanych poezji klasycznej lub „awangardowej”.

Różewicz należy do tych poetów, którzy najwyraźniej na awangardzie, ściślej: późniejszej awangardzie krakowskiej z Przybosiem na czele — wyrósł. Wyjątkowo jednak ma on odwagę nie odżegnywać się od wzoru. Technika awangardy zaciążyła na graficznym rozłożeniu wierszy Różewicza, na ich obrazowaniu, bo niekoniecznie na wewnętrznych elementach treści, które pochodzą raczej z innego źródła.

To, co krytyka „Twórczości” skłoniło do pokładania tak dużych nadziei w pisarskiej postawie Różewicza, to był niezwykle moralny i zarazem moralistyczny stosunek do spraw minionej wojny. Konfrontacja pamiętanej grozy wojennej i codzienności, która staje się swolna powszednia, uczula Różewicza na wszystkie odcienie fałszu i kłamstwa tej codzienności, zapominającej, że wyrasta na gruncie z krwi i krzywdy.

Nowy tom wierszy Różewicza „Czerwona rekawiczka” nie wychodzi poza problematykę moralną „Niepokój”. Znajdujemy tu zresztą najlepsze poetyckie sformułowania tego problemu jak np. wiersze o matce. „Czerwona rekawiczka” sprawia wrażenie jeszcze silniejszego „niepokój”, jeszcze większej szarpaniny poety, który spod grozy wojennej pragnie się uwolnić, dla którego wyjście poza temat wojny staje się koniecznością, a z drugiej strony wydaje się ciągle okrucieństwem w stosunku do pomordowanych. Nie opuszcza poety bolesny moralizm wobec rzeczywistości aktualnej.

„...jęgomość w egzotycznym stroju
może rozedrzeć zasłone z krwi
zastane z której korzystamy
my żywi — niby z parawanu
za którym uzupełniamy
wstydlive braki naszych sumień...”

Moralizm ten nawiązuje często do dawnych skamandryckich ujęć obsesji codzienności, powszedniości, noszących akcenty antymieszczańskie satyry, pozbawionej zdolności wyjścia poza obraz mieszczańskiego życia. Ta bezradna satyra antymieszczańska ubierała się najczęściej w formy groteski, przedstawiając świat jako malutki światek, gotów w każdej chwili zamienić się w bestię apokaliptyczną i skoczyć do gardła.

Taką groteską na granicy satyry są np. wiersze „Epileptyk” i „Płennik w spodniach”, który swoim epatować kogokolwiek, istotnie przestał już epatować kogokolwiek, wywołał drażliwą i rozdrażnioną dyskusję, zanim tomik Różewicza doczekał się uczciwej oceny krytycznej, na jaką zasługuje.

„Ten pan w białym półkoszulku
tak poprawnie narysowany
szywną twardą kreską

*) Tadeusz Różewicz. Czerwona rekawiczka. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1948.

JAKIEGO MICKIE

ZASŁUGI PRZESZŁOŚCI

Pamiętnik Literacki, organ Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, ma za sobą długą, pracowitą i pełną zasług drogę, na której prześledzić można jednocześnie dokładnie dzieje polskiej nauki o literaturze od przeszło pół wieku, czyli prawie od jej początku. Bo też wydawany od r. 1887 „Pamiętnik” (początkowo pod tytułem „Pamiętnik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza”) był pierwszym u nas czasopiśmie naukowym historyczno-literackim, poświęconym w pierwszym okresie wyłącznie wprawdzie wiedzy o Mickiewiczu (pierwszych sześć roczników, tzw. Pamiętnik Mickiewiczowski), ale skupiającym już wówczas niemal wszystkich polskich pracowników naukowych, rozrzuconych częstokroć po wielu miastach Europy (Brückner, Spasowicz, Nehring). Od r. 1902 „Pamiętnik” rozszerza swój zakres na całość historii literatury polskiej, stawiając sobie jako cel: „wydobywać z zapomnienia, wyjaśniać historycznie, rozstrząsać krytycznie zjawiska nieznane i mało znane, dochodzić związku przyczyn i okoliczności literatury polskiej z piśmiennictwem powszechnym, przedstawiać, rozbieierać, stosować nowe kierunki i metody historii i krytyki literackiej”. Tak rozszerzony „Pamiętnik” trwa do r. 1939 i obejmuje łącznie z „Pamiętnikiem Mickiewiczowskim” 41 obszernych tomów-roczników. W zakresie postulatu i ambicji stosowania nowych kierunków i metod historii i krytyki literackiej, możemy, jak to już było powiedziane, dość dokładnie prześledzić na przykładzie „Pamiętnika” drogę polskiej nauki o literaturze od jej stosunkowo postępowej funkcji w okresie pozytywizmu do chaosu metodologicz-

Wanda Leopoldowa

PAMIĘTNIK CZY LAMUS? *)

nego różnych odmian reakcyjnej ideologii pod koniec dwudziestolecia. „Pamiętnik Literacki” był już zresztą wtedy niemal wyłącznie organem „oficjalnej”, uniwersyteckiej nauki. Drugie zadanie natomiast, polegające na wydobywaniu z zapomnienia lub ukazywaniu nieznanych dokumentów literackich, stanowi do dziś trwałą zasługę „Pamiętnika”. Gromadzone przez lata „Notatki”, „Materiały” i „Bibliografia” dotychczas często niewykorzystane w monografiach (por. np. olbrzymie Krasiejowa Bernackiego) stanowią do dziś cenne źródło informacji dla każdego polonisty. W zakresie wiedzy o Mickiewiczu ten typ zasług jest również niewątpliwy. Wydana w r. 1948 przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, „Bibliografia Pamiętnika Literackiego” pod hasłem „Mickiewicz” zawiera dwanaście stron wypełnionych przeważnie tytułami zaczynającymi się od słowa „nieznany”: „Nieznany dokument...”, „Nieznana relacja...”, „Nieznane autografy” itd. Warto też przypomnieć, że właśnie Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza podjęło pierwsze w Polsce krytyczne wydanie pism poety, niestety nie ukończone.

Po przerwie wojennej 1939—1945 wydawanie „Pamiętnika” wznowiono, a idąc po linii tradycji pisma—kultu Mickiewicza, który stał się bodźcem do założenia pisma, uczczono Rok Mickiewiczowski w wyzwolonej Polsce wydaniem okazałego rocznika (XXXVIII), poświęconego w całości Mickiewiczowi. Rocznik ten zawiera imponującą ilość 10-u rozpraw

oraz, jak zwykle, działy podręczne: Notatki, Materiały, Bibliografia, Recenzje i przeglądy. I otóż okazało się, tym razem zapewne wbrew intencjom redakcji, że i inna tradycja „Pamiętnika” została zachowana: prawdziwie cenne rzeczy znajdujemy właśnie w owych podręcznych działach. M. in. opublikowano bibliografię mickiewiczianów w czasopiśmie polskim 1944—1947, omówienia przekładów Mickiewicza (przeważnie nowych) na język rosyjski, serbski, angielski i szwedzki (w działach 1939—1941), interesujące „Drobiazgi mickiewiczowskie” W. Borowego — glosy edytorskie do przygotowanych przez autora do „Wydania Narodowego” „Wierszy różnych” itd. Dwie trzecie tomu (tj. ok. 400 stron) zajmują jednak rozprawy; one decydować miały o jego wartości i charakterze; — istotnie — należy im się baczniejsza uwaga.

CHÓR „SŁOWICZKÓW”

Czytelnicy czasopiśm literackich pamiętają zapewne niedawną recenzję Stefana Żółkiewskiego w „Kuźnicy” z książki Tadeusza Filipa o Norwidowim „Fortepianie Szopena” pt. „Nowy słowiczek”. Żółkiewski na karykaturalnym wprost przykładzie tej książki gromi raz jeszcze zwyrodniałą „uczoność”, pseudonaukową uniwersytecką burżuazyjną naukę o literaturze. Tytuł nawiązuje do twi-

mowskiej parodii komentarza polonistycznego.

Mickiewiczowski „Pamiętnik Literacki” dostarcza sporej garści podobnych przykładów bezmyślnego błakania się po literaturze w masce „naukowości”, prowadzącego w rezultacie w ślepe uliczki formalizmu, wpływowości dla wpływowości, mistycyzmu czy w najlepszym razie przyczynkarstwa.

Rozprawa Zygmunta Sitnickiego „Mickiewicz a Dante” to 38 stron maniackalnej i częściej wpływowości, robionej metodą najprymitywniejszych zestawień. Wygląda to w ten sposób: mamy zdanie z „Dziadów” — „Tutaj na wzgórku Russa czytaliśmy razem” — Paolo i Franciszka również czytali razem (jaka szkoda, że nie mogli czytać Russa); „oczywisty” wpływ. Zdanie z „Konrada Wallenroda”: — „Gdzież jestem — wołał — tu słycać nadzieje?” — to znów „oczywisty” wpływ napisu na bramie piekielnej. Warto posłuchać dalszego ciągu wywodów o „Konradzie Wallenrodzie”: „Nie zawadzi poza tym nadmienić, iż w koncepcji autora Wielki Mistrz ma mieć lat trzydzieści kilka, czyli że znajduje się on właśnie w dantejskiej połowie drogi żywota naszego”. Dalej następuje „rewelacyjny” wniosek: „Jednakże — mimo wykazanego w ten sposób podobieństwa — należy znowu stwierdzić, iż treść „Konrada Wallenroda” świadczy, że jego autor w dalszym ciągu nie uznaje dantejskiego systemu kar pośmiertnych...”. Przykłady takie można cytować z każdej strony. Po prostu — stanowią one treść rozprawy. Nie mogę oprzeć się pokusie zacytowania jej wniosku końcowego. Autor mianowicie przypisuje swojej pracy doniosłe znaczenie. Jakże są powody? Posuchajmy: „Jak wiadomo Dante (podobnie jak Homer czy Szekspir) jest twórcą uniwersalnym, tzn. powszechnie znanym i zrozumiałym, podczas gdy Mickiewicz stopniowo i powoli zdobywa sobie znaczenie pisarza ogólnoludzkiego. Nie ulega zatem wątpliwości, że wykazanie pokrewieństw zachodzących pomiędzy dorobkiem artystycznym naszego poety a takimże dorobkiem Alighieriego, może się waleńnie przyczynić do większego zainteresowania arcydziełami Mickiewicza wśród obcych, a tym samym do stopniowego uznania go za twórcę uniwersalnego. W ten sposób dzieło literackie największego polskiego wieszczki narodowego może się stać istną arką przymierza między Polską a innymi narodami w dziedzinie pokojowej współpracy kulturalnej”.

Czyż doprawdy poeta narodowy staje się własnością i innych narodów dlatego, że był pod wpływem wielkiego, obcego poety? Czyż naprawdę określenie stosunku do tradycji literackiej polega na wskazaniu faktu, iż dwaj poeci używali tych samych wyrazów? W ten sposób — jak mówi autor — nie tylko nie „przyczyniamy się do większego zainteresowania arcydziełami Mickiewicza wśród obcych”, ale ośmieszamy i naukę i poezję!

Studium Tadeusza Dworaka (przyjęty głos, że to fragment większej pracy pod tym samym tytułem) „Analiza porównań w „Panu Tadeuszu” to inny przykład bezmyślnego maniackiego zestawiania, która ma zastąpić naukę. Na pracę tę składa się kolosalne nagromadzenie tablic statystycznych i klasyfikacji, z których dowiadujemy się np., że łącznik porównawczy „jak” występuje w „Panu Tadeuszu” 285 razy, że „ze względu na odmianę łącznika naliczyliśmy 15 rodzajów (i 5 mniej ważnych odcieni porównań, prócz tego 9 rodzajów form o charakterze złożonym...”, dalej, że porównania możemy podzielić na „potoczne i artystyczne” (co to w ogóle znaczy bez uwzględnienia ich funkcji?), lub też na „porównania proste, złożone i wielokrotne”, albo jeszcze inaczej, na „porównania samotne i rodzinne porównań”, przy czym dowiadujemy się jeszcze marginesowo, że: „Porównania tworzące rodzinę, mówią o samo, co samotne uzasadnienie psychologiczne”. Wystarczy? To wszystko na 33-ech stronach. Ale to przecież „fragment”!

Rozprawa Czesława Zgorzelskiego „O pierwszych balladach Mickiewicza” powstała, jak mówi autor, na skutek inspiracji przykładów prof. Konrada Górskiego. Autor zajmuje się stosunkiem Ballad do tradycji klasycystycznej, pojęciem jako stosunek „ballady” do osiemnastowiecznej „dumy” i posługuje się znów metodą zestawiania: ilości inwersji, analizy budowy stroficznej, ilości i odmian epitetów itd. Zgorzelskiemu chodzi o pokazanie „ewolucji techniki poetyckiej”, wiodącej do ustalenia gatunku „ballady romantycznej”. Ta ślepa uliczka formalizmu prowadzi nas z kolei przez 78 stron.

„Takie widzi światła koło Jakie tępyimi zakreśla oczy”.

Pozostałe rozprawy trudno omawiać indywidualnie z braku miejsca. Wybrałam przykłady najjaśniejsze. Na marginesie też tylko zaznaczyć należy, iż wątpliwą przysługę oddała redakcja zmarłemu prof. Stanisławowi Lempickiemu, publikując pośmiertnie jego napisaną w roku 1928 rozprawę pt. „Tak zwany „Heinrich” w autografie Ks. g. Pielgrzymstwa Polskiego” — jeszcze jedną próbę wynalezienia jeszcze jednego wpływu jeszcze jednego mistyka na Mickiewicza. Resztę rozpraw, mimo oczywiście znacznych różnic indywidualnych, znamionują pewne wspólne cechy. Uderza mianowicie jałowość i pozorna problematyka, płynące z niedostrzegania kluczowych dla nauki o literaturze zagadnień. Przede wszystkim chodzi tu

*) Patrz „Wies” nr 27: W. Leopoldowa — O naukę i prawdę.

Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza

Uchwała

powzięta na 7 posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dniu 5 maja 1945
w sprawie
Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza.

.

Krajowa Rada Narodowa, przejmując nie zrealizowaną inicjatywę Sejmu Ustawodawczego z 1920 roku w sprawie zbiorowego wydania dzieł Adama Mickiewicza, w pełni doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury narodowej w Odrodzonej Polsce

w Odrodzonej Polsce
postanawia

pod Wysokim Protektoratem Prezydenta Krajowej Rady Narodowej
BOLESŁAWA BIERUTA

zrealizować to pomnikowe wydawnictwo pod nazwą
Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza,
aby dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety
we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym.

—

Krajowa Rada Narodowa poleca Radzie Ministrów wyznaczyć na ten cel odpowiedni fundusz i przekazać tę uchwałę do wykonania Ministerstwu Kultury i Sztuki.

Realizację Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dnia 5 maja 1945 podjęto Ministerstwo Kultury i Sztuki.

—

Teksty wydania opracowano staraniem Komitetu Redakcyjnego
pod przewodnictwem
Leona Płoszewskiego.

—

Wykonanie powierzono Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej
„Czytelnika”.

Tekst uchwały KRN w sprawie Narodowego Wydania Dzieł Mickiewicza

Jeszcze w nieostyglą żarze wojny, na wale najpilniejszych spraw i potrzeb odbudowującego się państwa, na 7 posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej, w dniu 5 maja 1949 postanowiono: „doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury w Odrodzonej Polsce”, zrealizować wydanie wszystkich pism Mickiewicza aby „dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym”.

Uchwała ta nawiązuje do inicjatywy Sejmu Ustawodawczego z r. 1920 w sprawie całkowitego wydania pism poety. Wydanie to, znane jako Wydanie Sejmowe, zostało istotnie podjęte, ale do r. 1939 nie zostało w pełni zrealizowane. W ciągu 19 lat otrzymywaliśmy w długich odstępach czasu poszczególne tomy, nie stanowiące nawet w mniejszych zakresach całości: otrzymaliśmy część poezji, część wykładów, część korespondencji.

Dziś, w niespełna cztery lata od uchwały K. R. N., mimo trudności pierwszego okresu w budowaniu Polski Ludowej, otrzymaliśmy już pierwszą serię dzieł Mickiewicza — cztery tomy obejmujące całość twórczości poetyckiej.

Te cztery piękne tomy słusznie i chlubnie noszą miano Wydania Narodowego. Nie tylko dlatego, że realizację ich wyznaczyło przedstawicielstwo narodu polskiego. Ale również dlatego, że realizacja ta dała nam wydanie o zasięgu powszechnym. Wydanie to jest bowiem równie cenne dla najbardziej wytrawnego filologa jak dla zwykłego miłośnika poezji, dla ucznia i dla profesora, dla

wszystkich ludzi, dla których w Polsce Ludowej kultura narodowa staje się coraz szerszym udziałem i własnością. Układ każdego tomu pomyślany jest w ten sposób, że w części pierwszej otrzymaliśmy tekst utworów (najpierw utwory wydane za życia poety, potem pośmiertne; od zasady tej odstąpiono ze zrozumiałych względów jedynie przy „Dziadach”), w części drugiej zaś uwagi o tekstach i objaśnienia wydawców. Uwagi o tekstach podają źródła, na których tekst oparto oraz odnotowują wprowadzone poprawki w stosunku do wydań poprzednich. Wyzyskano tu cały dotychczasowy dorobek filologiczny, a w stosunku do utworów ogłoszonych po śmierci poety podjęto trud odczytania raz jeszcze dostępnych autografów. Stąd szczególnie w tomie „Wiersze” znajdujemy znaczną ilość drobnych na pozór lecz istotnych różnic (omówionych częściowo przez W. Borowego w artykule „Drobiazgi mickiewiczowskie”). Pamiętnik Literacki 38, 1948). Dzięki tym staraniom otrzymaliśmy możliwie najpoprawniejsze, najbardziej autentyczne teksty utworów wraz ze zwięzłym aparatem informacyjnym, pozwalającym badaczowi i bibliografowi prześledzić historię tekstu. Druga część dodatku — „Objaśnienia wydawcy” — zawiera krótkie informacje dotyczące dat, nazwisk, czasu powstania utworów, tłumaczenie trudniejszych wyrazów obcych, archaizmów i prowincjonalizmów — jednym słowem zwięzły komentarz, przeznaczony dla czytelnika zapoznającego się dopiero gruntownie z twórczością poety. Taki układ tomu zapewnia wszechstronność wykorzystania. Tom pierwszy zawiera ponadto jasne a wyczerpujące uwagi dotyczące zasad edytorskich wydania

(pisowni, układu itd.). W obrębie serii zastosowano podział na tomy wg rodzajów literackich. Tak więc tom I zawiera „Wiersze”, tom II — „Powieści poetyckie”, tom III — „Utwory dramatyczne”, wreszcie tom IV to „Pan Tadeusz”. Niezwykle trudne zadanie napisania syntetycznej przedmowy do całości wykonał z piętyzmem i żarliwością Julian Przybos.

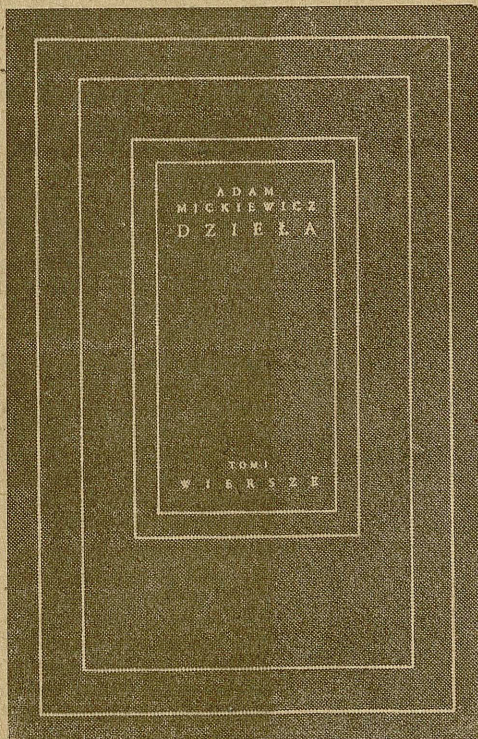
Szata graficzna „Wydania” budzi zachwyt. „Jaki papier! jaka czcionka!” — to pierwsze zdania, które wykrzykuje czytelnik dostając owe tomy do ręki. Dodatkowo każdy tom zawiera na wstępie podobiznę Mickiewicza — I — młodzieńczy portret Wańkowicza, II — portret pędzla Oleszkiewicza z czasów pobytu w Rosji, III — sżtych Oleszczyńskiego wg medalionu Dawida d'Angers, IV — fotografię popiersia marmurowego Dawida d'Angers.

I wreszcie sprawa ostatnia, choć nie najbłahsza: te cztery tomy tak wspaniale wydane kosztują 800 złotych. To chyba nie wymaga komentarza.

Doczekaliśmy się. Doczekaliśmy się prawdziwie narodowego wydania poezji Tego, który stale zapatrzonny w wolną przyszłość ludów, zostawił narodowi swojemu dzieło o „wewnętrzny ogień”, nie wyzłębionym nie tylko przez sto lat, ale i więcej, dzieło, do którego sięgamy wszyscy po mądrość i piękno.

Wydanie Narodowe Mickiewicza to jeden z najradośniejszych momentów w zakresie osiągnięć kulturalnych Polski Ludowej. Wierzymy, że tym razem otrzymamy szybko całość pism — zapowiadane dalsze serie, obejmujące pisma Mickiewicza publicysty i działacza, bez których niemożliwe jest pełne ogarnięcie i zrozumienie całej jego wielkości. Czekamy z niecierpliwością, by je dołączyć do pism poety.

W. L.



Okladka tomu I Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza

WICZA ZNAMY?

o sprawy genezy społecznej dzieła literackiego oraz jego funkcji klasowej. Oto zagadnienie, przesadzające o istotnie historycznym ujmowaniu zjawisk literackich. Bez ukazania konkretnych związków przyczynowych, bez określenia rzeczywistej funkcji utworów w danym okresie historycznym, obracamy się w sztucznie wyabstrahowanym świecie, nie mającym żadnego odpowiednika w rzeczywistych stosunkach ludzkich; w świecie, w którym „historia” ogranicza się do chronologicznego ustawiania i przesuwania martwych tekstów, według dowolnych kryteriów badacza. W ten sposób ujmowane zagadnienie obracać się muszą z natury rzeczy w kręgu problematyki pozornej. W najlepszym razie rozpatruje się sprawy drugorzędne.

Ta ciasnota widzenia historycznego — żeby nie powiedzieć ahistoryczny punkt widzenia — ciąży w mniejszym lub większym

stopniu na takich rozprawach „Pamiętnika Literackiego”, jak: Zofii Szmydtowej „Czynnik gawędowe w twórczości Mickiewicza”, Konrada Górskiego „Uwagi nad Grażyną”, Wacława Borowego „Mickiewicz w szkole klasycznej”. Na tym tle najciekawiej zarysowuje się rozprawa Juliana Krzyżanowskiego pt. „Wielkość i oryginalność Pana Tadeusza”, próbująca wprowadzić dać interpretację zjawisk w duchu tradycyjnej „sociologii literatury”, ale jedyna w tym traktująca szerzej nieco zagadnienia historyczno-literackie.

W rezultacie jednak, nad całym tomem poświęconym Mickiewiczowi chciałoby się położyć motto właśnie z Mickiewicza:

„Niechaj, kogo wiek zamrocy
Chyłac ku ziemi poradone czoło
Takie widzi świata koło
Jakie tępy mi zakreśla oczy”.

PAMIĘTNIK CZY LAMUS?

„Pamiętnik Literacki” jest po wojnie jedynym w Polsce naukowym czasopiśmie historyczno-literackim. („Polonistyka” poświęcona jest przede wszystkim dydaktyce historii literatury i języka polskiego, i nastawiona na bieżącą pomoc nauczycielowi). Konieczność wydawania pisma naukowego, zajmującego się zagadnieniami historyczno-literackimi, nie może budzić wątpliwości. Pod warunkiem, że czasopismo to będzie istotnie czasopiśmie naukowym. Warto też zachować dla niego tradycyjny tytuł „Pamiętnika Literackiego” — znów pod jednym warunkiem: że będzie to przynajmniej „pamiętnik”, a nie... lamus. Lamus — czyli miejsce, w którym zgromadzone są bezzadanie stare i nieprzydatne rzeczy. A tak właśnie

wygląda niestety ostatni tom „Pamiętnika Literackiego”.

Nie chcemy „upamiętniania” złych nawyków metodologicznych w polskiej nauce o literaturze! Pamiętamy je dokładnie. Nie chcemy gromadzenia jeszcze większego bałastu jałowych rozpraw i komentarzy, z których nic nie wynika. Pokazać, wyjaśnić, a tym samym „upamiętnić” trzeba jeszcze bardzo wiele w historii literatury polskiej. I temu celowi winno służyć naukowe czasopismo historyczno-literackie. Czasopismo nie spod znaku resztek obumierającej burżuazyjnej wiedzy o literaturze, której nieopadłość i fałszywość obserwujemy często jak niezamierzoną parodię, ale czasopismo o wyraźnie sprzecywanej postawie badawczej — naukowej, wynikającej z założeń materializmu historycznego.

Krzysztof Wysławski

METODA PSYCHOLOGICZNA

I.

Czytając ostatnią monografię prof. Kleinera pt. „Adam Mickiewicz” niejednokrotnie zastanawiałem się, do jakiej dyscypliny naukowej zaliczyć to dzieło, jeżeli za wyróżnik przyjmujemy przedmiot, o którym traktuje. I przyznaję się — byłem w niemałym kłopotcie. Pierwszą stronice „Adama Mickiewicza” można by na dobrą sprawę włączyć do jakiejś rozprawy geograficznej, uwagi zaś o fizycznej konstytucji poety, np. o jego wzroście, stanowiłyby być może cenny fakt przy uzasadnianiu jakiejś hipotezy z dziedziny anatomii; porównawczej, wreszcie refleksje na temat charakteru rodziców twórcy „Dziadów” to znów materiał, który nadaje się do wykorzystania przez kogoś zajmującego się psychologią eksperymentalną. Mimo te trudności można jednak wysledzić dwa zasadnicze przedmioty badań prof. Kleinera. Pierwszy — stanowią konkretne dzieła literackie wraz z ich genetycznym uwarunkowaniem, drugi — to po prostu dzieje człowieka, odnotowywane nawet wówczas, gdy nie tłumaczy się nimi utworów. Tym samym mamy wypowiedzi raz z zakresu historii, raz z zakresu historii sztuki, a ściślej — literatury. Zresztą możemy z całym powodzeniem uważać to za jedną z cech szczególnych większości opracowań monograficznych. Profesor Kleiner jest tu najzupełniej usprawiedliwiony, chociażby przez fakt, że w obu wypadkach jesteśmy na gruncie nauk jednego typu, czego nie da się z kolei powiedzieć o tych wszystkich fragmentach pracy, które zajmują się topografią Zaosia, czy też „żywym, chłonnym umysłem, Mikołaja Mickiewicza. Rozważania takie, zgodzimy się w tym miejscu chyba wszyscy, wykraczają poza granice dzieła, traktującego o literaturze, po prostu są zbędne.

II.

Praca prof. Kleinera nie jest osamotniona w polskiej historii literatury. Wprost przeciwnie, otacza ją mnóstwo dzieł podobnego gatunku, może mniej erudycyjnych, może mniej dokładnych, ale metodologicznie takich samych. Niedaleko tu bowiem do dwutomowej monografii prof. Kallenbacha, dotyczącej także Mickiewicza, niedaleko do osiągnięć prof. Pigonia, czy prof. Eugeniusza Kucharskiego. Oczywiście, są różnice dat wydania, oczywiście są jakieś specyficzne cechy każdego z tych dzieł, ale za każdym razem mamy do czynienia z tą praktyką naukową, a przynajmniej z postępowaniem pretendującym do takiego miana, która zaczęła dochodzić do głosu na katedrach polonistyki już w początkach XX w. Miała wielkie powodzenie, wielki poklask, tak że dziś jesteśmy w stanie wskazać jeszcze na całą bibliotekę wypełnioną cieńszymi i grubszymi rozprawami pisanyymi w myśl jej wskazań. Można by tu rzucić rozległy rejestr nazwisk autorskich i jeszcze rozleglejszy spis tytułów. Toteż sprawa „Adama Mickiewicza” prof. Kleinera to nie jest sprawa jednej książki, to sprawa wielu tomów. Ale jak wygląda ta metoda, której uzasadnienia doszukiwać się należy w niezwykłym rozluźnieniu reguł metodologicznych dokonanych przede wszystkim przez Wilhelma Diltheya?

Dlaczego praca prof. Juliusza Kleinera stanowi jedną z ofiar diltheyowskiego i nie tylko diltheyowskiego stanowiska metodologicznego, ofiarę szczególnie przykra, jeśli się zważy zasób wiadomości skrupulatnie zebranych przez znanego historyka polskiej literatury?

W jaki sposób prof. Kleiner bada dowolny utwór? Zaczynamy od fragmentu, w którym ustala genetyczne związki, w którym wyjaśnia racje, powodujące narodziny badanego dzieła literackiego. Oto np. urywek z interpretacji IV części „Dziadów”.

„Najprostszą byłaby myśl, że działałby wzgląd na cenzurę, że zarzut niemoralności odeprzeć miało stwierdzenie celu dydaktycznego. Ale właśnie obrona uroczyściwości napoił pogańskiej, przeciw stanowisku duchowieństwa, mogła urazić cenzurę, nie mówiąc już o wierzących na temat głupiego cenzora, które wiadomości pisane były za urzędowania Lelewela, albo pozostawione bez zmiany w przeświadczeniu, że Lelewel nie może stosować

do siebie owej inwektywy. Więc nie cenzura chciała Mickiewicz ułagodzić i uspokoić, lecz kogo innego, kto mógłby się czuć dotkniętym — Marylę. To przypuszczenie zmienia się w pewność wobec torów, na jakie wstępuje, w ciągu dalszym „godzina przestrogi”.

A dalej... w drugim np. tomie monografii znajdziemy obfity inwentarz przyczyn powstania „Pana Tadeusza”. „Poemat zrodził się z tęsknoty i z miłującej pamięci. Żywotność i trwałość niezniszczalna tego co minęło, niejednokrotnie ciążyła nad Mickiewiczem — groźną przeznaczenia, stała się źródłem błogosławieństwa. Z tęsknoty wyrósł „Pan Tadeusz” — z typowej romantycznej postawy duchowej. Ale nie zwracała się ona ku sferom wysnionym, wymarzonej, budowanym przez pragnienie, żal i fantazję. Światem, ku któremu rwie się tęsknie dusza poety, jest to, co było kiedyś dla niego najbardziej realne i co wraca do niego w prawdziwej konkretności, rzeczowości bezwzględnej”. Dzieło literackie stanowi więc „wyraz” przeżyć psychicznych poety, jest nim całkowicie zdeterminowane w swym wyglądzie. Powstaje z „żału”, z „te-sknoty”, z marzeń pisarza będąc tym samym jakimś psychologicznym dokumentem. Gdyby Mickiewicz nie kochał Maryli, nie mielibyśmy IV części „Dziadów”, gdyby nie przeżywał przygód erotycznych w Odessie — nie powstałyby nigdy jego sonety, gdyby, na koniec, nie tęsknił za krajem lat dzieciennych na emigracji — nie czytaliśmy dzisiaj „Pana Tadeusza”. Mówił to już prof. Kallenbach, mówiło to już dziesiątki historyków literatury na gruby przed wydaniem pracy prof. Kleinera. Ale to, że metoda powstała wiele lat temu, jeszcze by jej nie dyskredytowało. Uczynić to dopiero może dokładne zbadanie wartości hipotez, jakie możemy na jej podstawie skonstruować. A te wyglądają na pierwszy rzut oka budujące. Niestety tylko na pierwszy rzut oka. Bo jak możemy je sprawdzić? Skąd otrzymujemy dane o przeżyciach Mickiewicza? Tak wyglądałyby podstawowy nasz i, jak sądzę, zabójczy zarzut. Bo cóż z tego, że mamy listy poety, w których zwierza się on z własnych „stanów duchowych”. Są, ale na jakiej podstawie zakładamy wiarygodność a nawet prawdziwość owych zwierzeń? Mamy relacje osób postronnych zawarte w korespondencji, w pamiętnikach. Ale w oparciu o co uznajemy słuszność, trafność poczynionych tam spostrzeżeń? Nie są one nawet ze sobą zgodne, co zresztą nie wystarczałoby do całkowitego ich uznania. Częstokroć mamy do czynienia ze sprzecznymi osadami dwu różnych ludzi. Prof. Kleiner sam zresztą podaje w swym dziele liczne wypadki takiej kolizji. Jako przykład możemy przytoczyć refleksje odnośnie stosunku Mickiewicza do pani Kowalskiej, refleksje dokonane przez Czeszotę i Odyńca. Wybór jest najzupełniej dowolny. Możemy przyjąć to, możemy przyjąć z równym powodzeniem tamto.

Tak więc uznajemy „na wiarę” wypowiedzi samego pisarza, wypowiedzi osób postronnych i z tego dopiero materiału, za którego zgodność z faktycznym stanem rzeczy nikt nie może ręczyć, tworzymy hipotezę związku przyczynowo-skutkowego między przeżyciem a dziełem. Prowadzi to do wielu innych, nierozstrzygalnych komplikacji, których podawać tu nie ma potrzeby. Pierwsze bowiem zastrzeżenie uderza w metodę psychologiczną (tak można by nazwać metodę prof. Kleinera) w sposób dostateczny. Ustalać bowiem związek przyczynowo-skutkowy między dwoma faktami możemy dopiero wówczas, gdy ich pojawienie się zostało przez nas doświadczalnie stwierdzone. A tego warunku cała nieomal genetyka prof. Kleinera nie spełnia. Przeciwnie, metoda psychologiczna żyje prawem błędnego koła: ze skutku (faktu literackiego) domyśla się przyczynę (faktu z życia autora) i z kolei przyczyną (hipotetycznie wysnutą) wyjaśnia skutek (w heterogenicznej sferze faktu literackiego). „Na człowieka pełnego sam się (Adam Mickiewicz — przyp. mój A. W.) wychował; rodzice nie wskazali mu drogi. Za to dał mu jasną, pogodną, wolną od mętów i rozdźwięków atmosferę dzieciństwa — skarb, którego nie w życiu nie zniszczy. Im to zawdzięczał owe lata „sielskie — anielskie”, w których „rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał”, oni sprawili, że barwy

używała tym latom głęboka, prawdziwa serdeczność. Dom pogodny był ośrodkiem pogodnego świata, „który w cudzie prostoty malować się będzie tęsknym oczom wygnajca.

Kraj lat dzieciennych! On zawsze zostanie Święty i czysty jak pierwsze kochanie. Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny, Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!”

Raz jeszcze powtórzmy — oto badacz, traktując dzieło jako dokument psychologiczny, odtwarza na jego podstawie przeżycia poety, gdzieindziej zaś tymi przeżyciami tłumaczy będzie powstanie tego właśnie dzieła. Jest to klasyczne błędne koło. Oto skutki nieodpowiedzialności metodologicznej, która zrodziwszy się u Diltheya i Xenopola prowadzi nieodwrotnie do podobnych wyników. Trzeba sobie przypomnieć rozróżnianie poznania przyrodniczego i humanistycznego, dokonane przez Wilhelma Diltheya, gdzie to specyfiką dyscyplin historycznych było „ujmowanie zjawisk od razu w całości”, rozróżnianie otwierające pole do popisu przeróżnym interpretatorem, wyznawcom idealizmu teorii poznawczego. Zaciążyło ono nad wszelakimi dziełami, pretendującymi do miana naukowych, a traktującymi o dziejach społeczeństwa, kultury, sztuki itp. Brak ustalonych sposobów weryfikacji pozwolił na wysuwanie nieczym nie uzasadnionych hipotez, kryzys logiki zaś trwający wówczas jeszcze usprawiedliwiał i błędne koło, i stosowanie „indukcji zupełnej”, i szereg typów rozumowań podobnego właśnie rodzaju. Oto owoc szkoły marburskiej, niemieckiego neokantyzmu, irracjonalizmu, owoc jakże gorzki i jakże często teraz nawet jeszcze przez nas kosztowany.

III.

Wartościowanie dzieł sztuki należy chyba do najtrudniejszych operacji na całej przestrzeni nauk humanistycznych. Każda próba w danej dziedzinie zasługuje na baczniejszą uwagę. Zobaczymy więc, jakie są tu kryteria prof. Kleinera. Zaczynamy od cytatu.

„Poza tym przekład („L'education d'une fille” Voltaira dokonany przez Mickiewicza — przyp. mój A. W.) jest i zgrabny, i swobodny, umie dowcipnie przeprowadzić zlokalizowanie”.

„Wobec dzieł późniejszych tak błędnie ów zbiorak („Ballady i Romanse” przyp. mój A. W.), wydaje się czymś tak małym, że trudno dziś uprzytomnić sobie jego znaczenie, trudno w nim ujrzeć naprawdę zjawisko epokowe: toż tylko prostota szczerza „Powrotu Taty”, groza „Lilji”, humor „Pani Twardowskiej” zachowały świeżość niezłakną”.

„Nigdzie chyba w autorze „Pana Tadeusza” tak nie dochodzi do głosu warstwa słowa i obrazu jak w rozkoszowaniu się grą światła i wyrazem naturalnym”.

W przytoczonych przez nas wypowiedziach badacza mamy do czynienia z oceną estetyczną, jak zaraz się bowiem przekonamy, prof. Kleiner waloryzuje dzieła i ze względu na ich zgodność z wyznawanymi przez niego normami estetycznymi. Znaczenie tych ocen? Oczywiście bardzo wątpliwe. Po pierwsze nie są one uzasadnione (chodzi mi tu o oceny estetyczne) poprzez odwołanie się do jakiegokolwiek kryterium wartościowania, po drugie stanowią wyraz przeżycia poszczególnego osoby, nie mogą w żadnym wypadku pretendować do intersubiektywności. Wielkim złudzeniem licznych systemów estetycznych okazało się przeczyć mniemaniu o tożsamości (przynajmniej w miejscach zasadniczych) gustów ludzkich. Właśnie prace tych wszystkich, którzy oparli się na przekonaniu, że doznanie, jakiego dostarcza nam utwór stanowi bezwzględny i ogólny miernik jego wartości, tworzą przykład, dyskredytujący wiarę w jednorodność ocen wydawanych przez zbiór ludzi kompetentnych. Nie wydaje mi się celowym sięganie tu po wielki rejestr przykładów. Podawano je już nieraz. A jeśli chodzi o mnie, to chciałbym tylko przypomnieć wyrażoną sprzecznym w osądach twórczości Juliusza Słowackiego, osądach wydawanych przez prof. Tretiaka i właśnie prof. Kleinera. Jest rzeczą ogólnie znaną, że kryteria waloryzacji a tym samym i podział (w kategoriach — podoba się i nie podoba się) dzieł literackich, a nawet uogólniając — dzieł sztuki, zmieniał się w różnych epokach, dalej



Adam Mickiewicz
M. Wańkowicz

— w tym samym czasie był najczęściej różny w różnych krajach, i w różnych klasach społecznych. Na tej właśnie podstawie musimy jesteśmy odmówić „laurekom” prof. Kleinera intersubiektywności, będącej jedną z najważniejszych cech każdej wypowiedzi naukowej. Skazani jesteśmy na dostrzeganie w obficie rozsypanych po całej monografii ocenach upodobań, sympatii lub antypatii artystycznych nie badacza, a reprezentanta pewnych klasowych gustów, pewnej frondy estetycznej. Odczytujemy ją łatwo, dochodząc do rozważań, że wartościujących, rozważań czynionych już ze stanowiska etyki.

„Ale trudno pogodzić się z myślą, że Mickiewicz przekłada „La pucelle d'Orleans”. Bo „pucelle d'Orleans” to pomnik ohydny cynizmu. Zboczenia moralne spłodziły niewątpliwie w wielu oświeceniach rzeczy jeszcze potworniejsze, lecz wtedy przechodziły już na teren patologii; nigdy jednak nawet w XVIII w. nie była w takim stopniu pobudką twórczą poematu obszernego chęć profanowania świętości”.

Tutaj ukazują się mu reguły moralności chrześcijańskiej. Potępienie poematu Voltaira i potępienie prawie całego Oświecenia, paszkwilancki („Pomnik ohydny cynizmu”, „Zboczenia moralne” itd.) atak na postawę wówczas literaturę burżuazyjną właśnie za jej libertynizm, za negatywny stosunek do religii. Gromy spadają imiennie na twórcę „Kandyda” a bezimiennie, jak chyba słusznie się domyślam, na Diderota, d'Argensona, bo daj że i Chamforta. No dobrze, może powiedzieć na to ktoś, ale dopóki nie zakwestionowaliśmy kryteriów, wszystko jest w porządku. Przy przyjęciu mierników wartości prof. Kleinera wiek XVIII rzeczywiście wygląda w ten sposób. Ale w tym punkcie niestety wszelaka dyskusja jest nie do przeprowadzenia. Etyka katolicka bowiem, a ona tutaj stanowi wzorzec, pochodzi rzekomo od Boga. Tym samym przyjęcie jej lub odrzucenie to sprawa wiary a nigdy nauki. Uzasadnianie tych wskazań moralnych, które Mojżesz otrzymał na górze Synaj, nie podejmował się żaden z poważniejszych katolickich filozofów widząc w nich problem, wykraczający poza jakiegokolwiek badania empiryczne. Możemy natomiast przekonać się, do czego doprowadziło przyjęcie takich kryteriów. Rezultat tej książki, potępiającej prąd umysłowy XVIII w., które kolidowałyby z Kościołem, książka wojującego religianta.

* Juliusz Kleiner „Adam Mickiewicz”.

Mariusz Margai

„ULICA GRANICZNA”

Wraz z Wandą Jakubowską i E. geniuszem Cękalskim Aleksander Ford należał przed wojną do Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego „Start”, które dążyło do uzdrowienia polskiej kinematografii przez wprowadzenie społecznej tematyki i realistycznej formy. Jako grupa postępową, „Start” napotykał w swojej działalności na stały opór cenzury. Takie filmy Forda jak „Legion ulicy”, „Ludzie Wisły” lub „Przebudzenie” powstawały w ciągłych z nią zmaganiach i przechodziły wiele perypetii, zanim cenzorskie nożyce ustalały ostateczną wersję.

„Ulica Graniczna” jest pierwszym długometrażowym filmem Forda po wojnie i pierwszym, który zapoczątkował współpracę kinematografii polskiej i czeskiej. Temat filmu jest trudny i bolesny: wzajemny stosunek społeczeństwa polskiego i żydowskiego w okupowanej Warszawie. Wybór dzieci na bohaterów jest świadomym zamierzeniem, dzięki któremu Ford chciał w formie jak najsłodszej przedstawić ten problem bez jakichkolwiek zadrażeń. Jednakże scenarzyści (Ford i Starski) ułatwili sobie rozwój akcji przez nagromadzenie zbyt wielu „cudownych” przypadków, które osłabiają bardzo silną skądinąd sugestywność filmu. Szkoda także, że w scenariuszu nie wykorzystano elementów sytuacyjnych. Nie mamy np. pojęcia, skąd się wzięło, kto zorganizował i kto kierował powstaniem w ghetcie, a przecież nie było ono spontanicznym zrywem indywidualnym, jak można wywnioskować z filmu. Brak także elementów topograficznych: kilka rytmicznie powtarzanych w miarę trwania filmu słów o zmniejszającej się ludności ghetta, nawet mapa Warszawy z zarysowanym i stopniowo kurczącym się obszarem ghetta, nadałyby filmowi cenne cechy dokumentalne i zamknęłyby usta tym zachodnio-europejskim krytykom, którzy zwalczają film jako nieprawdziwy.

Scenopis, podstawa sztuki reżyserskiej, został opracowany — sadząc z filmu — nader starannie i drobiazgowo. Niektóre ustawienia aparatu są tak świetnie pomyślane, że potęgają znacznie wrażenie widza. Należy do nich m. in. wolna, pełna smutku w samym tempie, jazda (travelling) aparatu w tragiczną, ostatnią przed opuszczeniem mieszkania, ucieczką sobotnią u Libermanów, jazda, która mijając rytualne świeczniki, odrzucając je gdzieś w bok jak zbędna już, wystużona dekoracja, umieszcza widza przy stole sobotnim między Libermanami i tym samym zbliża jakby do cierpienia. Należy do nich pomnikowa panorama aparatu, który pełznie za płomieniami wzdłuż ścian płonących domów ghetta, aby odkryć na dachu symboliczną postać Natana — dzierżące sztandar polski obok żydowskiego, postać, której ruch kamery w górę nadał charakter monumentalny i pomnikowy; wreszcie odjazd aparatu przed dziećmi błądzącymi w kanałach, odjazd, który prowadzi Jadzię i Dawidkę podkreśla jak gdyby bezcelowość, beznadziejność ich walki.

Przejścia obrazowe (nie montażowe w sensie technicznym) są u Forda poprawne i efektowne: mimo konwencjonalności w formie są przekonujące i silne. Kiedy zdradca Kuśmirak każe przystrzyc się według „nowej mody” i fryzjer przerażony konstatuje, że „przecież pan wygląda jak...”, nagła zmiana obrazu nie pozwala mu skończyć: oficer niemiecki podchodzi — na nowym już obrazie — do baru z wzniesionym ramieniem: „Heil Hitler!”, kiedy Hans woła do wytresowanego psa „wo ist der Jude”, „der Jude” ukazuje się nagle w zmienionym obrazie w postaci zgarbionego Libermana, który szyje opaski z tarczą dawidową. Niewątpliwie najlepsze jest przejście, które okres od bombardowania Warszawy do wkroczenia Niemców zamyka w kłęb dymu, spoza którego wyłaniają się tuż przed obiektywem zatarate i nieostre, jednakowe i niezróżnicowane postacie na jeźdźców (przecież wszyscy Niemcy byli wówczas dla Polaków jednakowi!) W tym dymie, w postaci żołnierza polskiego migającego w odstępach między maszerującymi Niemcami, w czapce polskiej niewiadomo kiedy zrzuczonej na bruk, Ford zawarł podkreślony muzyką tragizm wrześniowej kampanii! Wreszcie staranna i głęboka reżyseria takich scen jak pożegnanie Jadzi na dworcu przez ojca, rozmowa telefoniczna Dawidka z Bronkiem, praca w zakładach krawieckich i zabójstwo „des Mannes mit der Geschwulst”, na koniec wirtuozowska modlitwa Libermana, świadczą o wysokiej klasie reżyserskiej. Wydaje się jednak, że więcej nałożenia i uczucia włożył Ford w reżyserię i rozpracowanie drugiej części filmu od chwili, gdy zrywa z perypetiami indywidualnymi i przechodzi na teren ghetta.

Jednolity (w każdym razie od zakończenia zbyt długiej ekspozycji) styl i rytm filmu jest nadszarpnięty ekliw-sentymentalnymi scenami „pierzcionkowych” perypetii Jadzi i Władki, dramatycznie niepotrzebnych, bez psychologicznego uzasadnienia. Zarówno sielankowa jazda dorożką jak pseudo-uczuciowa rozmowa Jadzi i Władki przy moście mogłyby ulec poważnym skrótom. Zbędne, bo nie nowego nie wnoszące wydają się również takie sceny jak niepotrzebna dramatycznie rozmowa Kuśmiraka z córką nad fotografią dziadka dra Białka (Warszawiak Kuśmirak



W szwalni — scena z filmu „Ulica Graniczna”

byłby naprawdę taki naiwny, by dopiero dzięki podobieństwu zmienionego nazwiska uświadomić sobie żydowskie pochodzenie dra Białka?); razi w scenie romowy Jadzi z Bronkiem w komórkę patetycznej i źle wmontowanej ujęcie Jadzi, która nagle w wielkim planie (i w zmienionym oświetleniu, które ma podkreślić jej bohaterstwo) oświadcza, że „pójdzie wytłumaczyć szkopom” zło ich postępowania; spośród trzech piosenek: „Warszawskie dzieci”, „Erica” i „Pocóż tu przyszedł” tę ostatnią można by śmiało usunąć. Wreszcie, z wyjątkiem partii Libermana, dialogi filmu są stanowczo zbyt patetyczne.

Tego rodzaju usterki nie mają w przebiegu akcji zasadniczego znaczenia i są wobec problematyki filmu zagadnieniem drugorzędym. „Ulicę graniczną” należy bowiem rozpatrywać przede wszystkim pod kątem jej ideologii. Szkoda przecież, że teza werbalna („nie ma granic między ludźmi”) szczególnie pięknie wyrażona w końcowych słowach filmu nie znajduje dostatecznie przekonujących poparcia w elementach wizualnych. „Nie zginięsz Dawidku!”, mówi anonimowy speaker, „ty nie możesz zginać!” (w sensie ogólnoludzkiego symbolu zapewnel) — w konkretnej jednak rzeczywistości filmowej (obrazie) nikt, nawet Broniek i Władek, nie powstrzymują Dawidka na zbyt symbolicznej drodze ku zgubie, gdy wraca do walącego się ghetta.

Równoległe z tą tezą film pokazał niebezpieczeństwo obojętności wobec grupy ludzi, w tym wypadku Żydów, jako zbiorowości, niebezpieczeństwo, którego nie zmniejszają przypadkowe i niezorganizowane akty pomocy indywidualnej. Bo jeżeli Broniek niesie pomoc Dawidkowi, to dlatego, że go zna, że lituje się nad jego osobistym losem, może jeszcze ze względu na bliski kontakt chłopca z Jadzią — czy jednak pomoże innemu Dawidkowi z innego podwórka, tak jak Władek, który przeszedł wyraźną ewolucję i który po przełomie nie traktuje Dawidka jednostkowo? Motorem historycznej wprost chęci pomocy ze strony panny Klary jest także prywatne współczucie ograniczone już tylko do Jadzi. Pozostali Żydzi są dla panny Klary straszną masą stłoczonych za murami ludzi niepojętych, odległych, niezróżnicowanych tak jak i dla reszty Polaków — bezimiennych przechodniów, którzy biernie przyglądają się sensacyjnej wizji palenia ghetta. Z masy tej wyodrębniają się, jeżeli chodzi o istotną typizację jednostek, jedynie bezmyślni „antysemici z przekonania”, Wojtanowie, i zdradcy Kuśmirakowie. Film nie wykracza więc poza drobnomieszczański krąg polskiego społeczeństwa. Pozbawiając widza obrazu polskiej inteligencji i proletariatu nie przedstawia pełnej rzeczywistości społecznej. (Polski strażak zabity przez Niemców za próbę gaszenia płonących domów w ghetcie i Polacy w dwóch scenkach pomagający Żydom w sposób zorganizowany — dostawa broni i zniszczenie kulomiotu — są potraktowani zbyt epizodycznie i w sposób z całością filmu niczym nie związany).

Schemat społeczności żydowskiej jest również niepełny. Stary krawiec Liberman to biedny, chasydzki lumpenproletariusz; Nathan wyrwywający się już poza mury odrębności żydowskiej mógłby być równie dobrze bojownikiem klasowym co palestyńskim pionierem; Dawidek to dziecko żydowskie na pograniczu obu światów, dziecko wychowane w zaśnieżonym chederze, ale już, może nie zawsze świadomie, rwące się do innego świata. Pominięty jest więc uświadomiony robotnik żydowski (a przecież lewica — syjonistyczna lub niesyjonistyczna, to mniej

mi walącego się domu, wcielił się w tragiczną śmierć warszawskiego żydostwa.

Na specjalną uwagę zasługuje Jurek Złotnicki w roli Dawidka; należy jednak baczyć, by jego oczywisty talent nie uległ wypaczeniu i manieryzacji, o co tak łatwo w tym wieku. Nie uchroniono też Marii Broniewskiej: gra ona Jadzię nonszalancko, kryguje się, pozuje na „gwiazdę”. Pozostałe dzieci nie zostały należycie wykorzystane i wypadły blado i bez wrażenia.

Zawiedli i „starzy” aktorzy. Pichelski (Wojtan) zagrał tak „drewnianie”, że wprost każde wypowiedziane przezeń słowo brzmi fałszywie. Leszczyński (dr Białek) jest stosownie do swojej postaci nijaki; Śródka (Natan) zbyt patetyczny, szczególnie w pierwszej części. Najnaturalniejszy jest już bodaj Fijewski, chociaż Cwiklińska i Walter także bez zarzutu interpretują swoje role.

Do najlepszych elementów filmu należy bezsprzecznie muzyka Palestra, który stworzył jedną z najlepszych polskich partytur filmowych. Jest sugestywna, rośnie nieprzerwanym, zsynchronizowanym z obrazem crescendo, nakładając na obraz jeszcze jedną, głęboką warstwę potężniejszego tragizmu.

Momenty żydowskie są zbyt ubogo rozpracowane tematycznie, chociaż są bezsprzecznie prawdziwe i wzruszające, bez wątpienia najlepszą ich częścią jest modlitwa Godika. Jeżeli chodzi o nagranie dźwiękowe filmu, to „Ulicę graniczną” można pod tym względem przyjąć bez żadnych zastrzeżeń: jest to zasługa Czecha Miroslava Prokosa, który nie może oczywiście odpowiadać za zły ekwipunek techniczny niektórych naszych sal.

Jeżeli chodzi o dekoracje, to łódzki plener warszawskiej ulicy i ghetta (Radzinowicza) jest bez porównania lepszy od barandowskich kanałów (Kopecký’ego). Te ostatnie są może bardzo efektowne, ale nie są kanałami. Są czystym pokazowym basenem podziemnym, o pięknych efektach falującej wody. Zapachu ich, duszącego i odrażającego, nie czuje nie tylko widz, ale — co gorsza — nawet Jadzia z Dawidkiem.

Robota operatorska (Jaroslava Tuzara) jest znacznie lepsza w drugiej części, choć i na początku układ klatek i kompozycja obrazu świadczą o wysokim wyczuciu plastycznym operatora (np. Liberman widziany przez owalną oprawę okna).

Słaby, a miejscami wręcz zły, jest montaż. Przykłady: Jadzia splunęła na Hansa, ślina spadła jej na podbródek — Hans otarł twarz. Ucieczka Jadzi ze wsi do Warszawy zbiega się w czasie z jej momentem przybycia do stolicy (co m. in. ma miejsce po godzinie politycznej, późnym wieczorem, a Jadzia jest żydowskim dzieckiem, nie ma papierów ani pieniędzy). Zły jest również montaż walki Hansa z psem i pogoni gestapowców za dziećmi pod murami ghetta.

Niemniej jednak te ewentualne usterki nie wiele znaczą wobec niezwykłej siły emocjonalnej filmu, a błędy ideologiczne i klasowe uchodzą miejscami uwadze, szczególnie tam, gdzie reżyserowi udało się osiągnąć realistyczny charakter filmu. Co prawda nie stworzył postaci i uogólnień, które by „wykazały prawa rozwoju społeczno-historycznego”, ale jego ludzie odpowiadają swym środowiskom, określają je i na tym tle wykazują niebezpieczeństwo drogi, która przez nienawiść człowieka do człowieka prowadzi do zupełnego upodlenia i upadku.



„Ulica Graniczna”: W. Godik jako krawiec Liberman, J. Złotnicki w roli Dawidka

Konstanty Treniew

Hum. St. Marczak-Oborski

„LUBOW JAROWA”

(Fragmenty III aktu)

Sztuka Konstantego Treniewa „Lubow Jarowa” uznana jest powszechnie za wybitne osiągnięcie dramatu radzieckiego. Wystawiona poraz pierwszy w roku 1927 weszła odąd do żelaznego repertuaru teatrów Związku Radzieckiego. Treniew pokazuje w niej dramatyczne dzieje okresu walki bolszewików z siłami kontrrewolucji. W przechodzącym z rąk do rąk mieście przesuwają się przed oczami widza dwa światy. Czerwonych wiąże wszystko: siła, odwaga, bohaterstwo — wynikają z nich z walki o słuszną sprawę, o lepsze, sprawiedliwsze życie. Obrońcy starego porządku ukazują się nam w całej ohydzie rozkładającej się klasy. Lecz ich tylko nienawiść do rewolucji, ich brzydota moralna, odświeżająca się w wzajemnym zakłamaniu, zawzięci i gotowi do podławy interesem własnym. Drukowane fragmenty III aktu są właśnie ilustracją prawdziwego oblicza obrońców burżuazyjno — ziemiankiej Rosji.

Zapada wieczór. W połowie aktu zmrok. Pokój z pierwszego aktu. Trójkolorowe flagi. Plakaty, afisze o zabawach tanecznych „Na rzecz sił zbrojnych południowej Rosji”. Kołosow zakłada przewody. W drzwiach staje Lubow Jarowa.

LUBOW: Czegoście się dowiedzieli?
KOŁOSOW: Prawie nic, wszystko wskazuje na to, że żeglowcy nie ujdą kary śmierci. Czekają tylko potwierdzenia wyroku.
LUBOW: To wiadomo, że nie darują. Ale kiedy? Był teraz Szwandia od Romana. Mają odbić towarzyszy żeglowców w drodze na egzekucję. Za wszelką cenę trzeba się będzie dowiedzieć, gdzie to będzie i kiedy.

KOŁOSOW: Stracą ich natychmiast po zatwierdzeniu wyroku.

LUBOW: Ale kiedy przyjdzie to zatwierdzenie?

KOŁOSOW: Być może, że już przyszedł.

LUBOW: Otóż w tym rzecz. Panowa wie na pewno o wszystkim. (Wychodzi).

(Wchodzi Panowa, Kutow i Jelisatow).

JELISATOW: Witam, pułkowniku. Kiedy Pan był łaskaw wrócić?

KUTOW: Przed chwilą. Prosto z frontu. Złożyłem raport jego ekscelencji o nowym, wspaniałym zwycięstwie pod Selezniewką.

Czy wiecie już o naszych zwycięstwach?

JELISATOW: Oczywiście; siedemdziesięciu jeńców i cztery karabiny maszynowe.

KUTOW: Pomyłka. Stu siedemdziesięciu jeńców.

JELISATOW: W depeszy...

KUTOW: Poprawić. Czternaście karabinów maszynowych i dziewięć dział.

JELISATOW: Już wydrukowane, ale można puścić „Dodatkowy komunikat”.

JELISATOW: Czy pozwoli Pan, Pułkowniku, zamieścić wywiad w dodatku nadzwyczajnym?

KUTOW: Proszę bardzo. Droga Pawło Pietrowna, co nowego u tych szubrawców, naszych szlachetnych sprzymierzeńców?

PANOWA: Ploteczki o modzie, nowa operetka. Cały Paryż poruszony.

KUTOW: Ale pani niech się tym tak nie wzrusza, moja droga. Dostaniemy broń, potem przyjdą i mody. Arkadiuszu Piotrowiczu, wie pan o przyjeździe jego ekscelencji?

JELISATOW: Wiem, oczywiście.

KUTOW: Między innymi w czasie zeszłej bytności jego ekscelencji na ulicach nie było prawie ludności cywilnej. Jego ekscelencja zauważył to...

JELISATOW: Zwiększyć udział ludności cywilnej? Ale ktoś ma się tym zająć? (Wchodzi protorej Jarow i Malinin). Otóż ojciec protorej też mógłby natchnionym słowem...

JELISATOW: A czy słowami...

ZAKATOW: Pozdrawiam was panowie. Jego ekscelencja nie przybył jeszcze? Czy prawdziwie prorokowałem nowe zwycięstwo?

KUTOW: Najzupełniej prawdziwie. (Słowa ojca są natchnione).

ZAKATOW: To wielka radość. Tym większa, że rokuje nam zwycięstwo ostateczne. Spotkałem właśnie na placu pułkownika Malinina. Tylko co wrócił z karnej ekspedycji. Zbuntowane wsie zrozumiały swoją winę i teraz żałują. Wspomnieć moje prośby słowa Panowie: Za czterdzieście dni będziemy słuchać malinowego dźwięku moskiewskich dzwonnicy. (Wchodzi Jarow i Malinin). O wilku mowa, a wilk tu.

MALININ: Witajcie panowie. Ojciec protorej, proszę o błogosławieństwo.

ZAKATOW: (błogosławiając) Bądź pozdrowiony niosący pokój.

MALININ: (ucładował rękę Zakatowa a potem obie ręce Panowej). Najpierw jedną poświęconą, a potem dwie boskie.

ZAKATOW: Kolejność powinna, ale słowa próżne.

PANOWA: Fl, jak nazywają się wasze perfumy? Egzekucyjne? O, pułkownik Kutow przywiózł mi z frontu cud!

KUTOW: Gratuluję sukcesów, pułkowniku.

MALININ: Wzajemnie.

JELISATOW: Czy można przeprowadzić wywiad?

MALININ: Przed raportem dla jego ekscelencji — nie mogę.

JELISATOW: Przynajmniej ogólnikowo.

MALININ: No, jeśli ogólnikowo...

JELISATOW: Jakie środki przesiewzieto dla opanowania sytuacji?

MALININ: Natychmiastowe i stanowcze. Droga egzekucji i spalania wsi. To oczywiście nie do druku. W druku proszę zaznaczyć, że w ciężkim dwutygodniowym marszu cały oddział, od komendanta do ostatniego żołnierza, spisał się bez zarzutu. Każdy był gotów pójść za wiarę na krzyż, za cara na szafot, za ojczyznę na bagnety. A za takie rączki (całuje Panową w rękę) w ogień i w wodę.

PANOWA: A ktoś pana ciągnął na szafot — dziewczęta?

KUTOW: Czyżby na tyłach były bagnety?.. (parska śmiechem).

MALININ: Mogę zapewnić łaskawą panią, że po pierwsze: knowania bolszewików na tyłach gorsze są od ich bagnety na froncie, a po drugie: myśmy na tyłach żydowskich pierzyn na bagnety nie brali i nie perfumy dla pań zdobywali, jak to robili na froncie ci, co teraz parskać.

KUTOW: A po trzecie ojciec protorej, wydaje mi się, że szlachetniej walczyć z Żydami na froncie, niż z rosyjskimi dziewczętami na tyłach.

ZAKATOW: Z jednej strony tak, ale już z drugiej, a z trzeciej zwłaszcza...

KUTOW: Walczycie z babami, a pod moim nosem o mało nie wyleciał wam w powietrze most Żegłowski.

MALININ: No, jednak nie wyleciał. I Mazuchina z Chruszczem udało mi się ująć.

KUTOW: Panu się udało? Przecież to robota porucznika Jarowego. I Pan naprótno się...

JAROWY: Panowie, skończcie już z tym. Chwila jest poważniejsza niż przypuszczacie. Dopóki nie zlikwidujemy Romana Koszkin, nie będziemy mieli spokoju na tyłach.

MALININ: Zlikwidujemy. Mamy już zupełnie pewne informacje: ukrywa się w lasach Orechowskich. A ten, jak mu tam — no ten co przy wieszaniu zadusił konwojenta?

KUTOW: Szwandia?

MALININ: Tak, tak Szwandia — w wilczych Parowach. Natychmiast trzeba pchnąć oddziały w tych kierunkach.

JAROWY: Myślę, że pan się myli. I dopóki będziecie łączyć z oddziałami po lasach i parowach, tutaj mosty i magazyny będą wylatywały w powietrze.

MALININ: Tu właśnie istnieje konieczność oddziaływania moralnego. Szajkę żegłowską należy powiesić nie w Żegłowie, lecz tu na bulwarze.

KUTOW: Tak, to byłby świetny efekt.

MALININ: Poproszę teraz o rozporządzenie jego ekscelencji (bierze słuchawkę telefonu).

JAROWY: Sprzeciwiam się kategorycznie.

KUTOW: To by dało efekt moralny...

JAROWY: Ja bym chętnie nie tylko dla efektu porozwieszał tych spodłajych pacholców i nie tylko na bulwarze, ale na całej drodze do Moskwy. Ale teraz efekt będzie taki, że ten Koszkin odbije ich u wrót więzienia.

MALININ: Ależ Koszkin też będzie w naszych rękach. A jak jutro zobaczą taką girlandę na bulwarze, to będzie bardziej przekonujące od wszystkich proklamacji. Wierzę staremu doświadczeniu.

KUTOW: Skończmy z połowiczną grą. Jeśli ogłosimy terror, to dotrzymajmy.

MALININ: Musimy być bezwzględni w stosunku do sympatyków bolszewizmu. Część trzeba wysłać na front, a część izolować tutaj.

JAROWY: I zostanie nam Jelisatow.

MALININ: Więc pan broni sympatyków bolszewizmu?

JAROWY: Zdaje się, że nie zdrząła mi jeszcze ręka w walce z bolszewikami. I moim zdaniem...

MALININ: (ostro mu przerywając) Panie poruczniku, radzę panu raz na zawsze zachować swoje zdanie dla siebie i postępować według rozkazów jego ekscelencji.

JAROWY: (wstrzymując gniew) Zdanie o panu zachowam dla siebie. (Słychać podjeżdżające auta).

KUTOW: (patrzy w okno) Jego ekscelencja. (Wszyscy przechodzą do gabinetu generała).

(Z sąsiedniego pokoju wychodzi Panowa niosąc papiery. W nieoświetlonym oknie zarysowuje się postać Koszkin w chłopkim stroju z koszykiem w ręce).

KOSZKIN: Towarzysko Panowa!

PANOWA: Kto to? Roman... Skąd tu?

KOSZKIN: Przyniosłem leśne jagódki (podaje koszyk).

PANOWA: Czyście zwariowali... W każdej chwili mogą was ująć.

KOSZKIN: Wyrok już jest? Kiedy będą wieszac? I gdzie?

PANOWA: Kogo?

KOSZKIN: No prędko!

PANOWA: Nie wiem.

KOSZKIN: Wiecie.

PANOWA: Odejdźcie.

KOSZKIN: (skierowuje na nią rewolwer) No! znacie mnie przecież. Życie towarzyszy żegłowskich droższe mi od własnego. (Za drzwiami kroki).

PANOWA: Uciekajcie... Ktoś idzie...

KOSZKIN: Ja rade żartuję. Czekam. (znika).

(Wchodzi Czyr śpiewając: „Carstwu na sławu nam”).

PANOWA: Czego chcecie Czyr?

CZYR: To pani mnie nie wołała?

PANOWA: Nie.

CZYR: Staremu człowiekowi nieraz się przywidzi...

PANOWA: Przeze gnajcie się lepiej.

CZYR: (Zegna się). Ładnie pachnie jagodami. Leśnymi. Zbierają ludzie. — Bandytów się nie boją. (Wchodzi Jarow).

JAROWY: Cóż tam Czyr?

CZYR: Opowiadam, jak jagody pachną leśne...

JAROWY: Któż to pani przyniósł?

PANOWA: Wielbiciel.

CZYR: Tylko Boga jedynego wielbić należy.

JAROWY: Idź precz... (Czyr wychodzi).

JAROWY: Opowie mi pani o swoim wielbicielu?

PANOWA: Nie.

JAROWY: Nazbierał jagód w partyzanckim lesie. Odważny chłopak...

PANOWA: Nie bojaźliwy.

JAROWY: Ależ to jak romans.

PANOWA: Małeńki.

JAROWY: A może ten małeńki romans pisze się bez „s”? (Patrzą sobie w oczy).

PANOWA: Widzę, że pan lubi zaglądać do cudzego serca.

JAROWY: To z zazdrości.

PANOWA: Lepiej, żeby pan był zazdrosny o własną żonę.

JAROWY: A kogo mam podejrzewać?

PANOWA: Nie jestem donosicielką... Niech pan sobie oszczędzi pytań.

JAROWY: No, jeśli ktoś na panią doniesie, to nie będą oszczędzali pytań.

PANOWA: Widzę, że pan mnie myli ze swoją żoną.

JAROWY: Nie, nie myślę Pani. Moja żona nie pracuje w sztabie i nie odpowiada głową za znajomości z partyzantami (wychodzi).

(Z ulicy słychać dźwięki hymnu, okrzyki. Wchodzi Luba i zatrzymuje się w cieniu).

PANOWA: Kto tu? Czyr, to ty?

LUBOW: Nie, to ja.

PANOWA: A, towarzyszka Jarowa. Pani do kogo?

LUBOW: Do was.

PANOWA: O cóż chodzi?

LUBOW: Chciałam się dowiedzieć... Czy byście nie pomogli...

PANOWA: W czym?

LUBOW: Zaareztowano moich uczniów komsomolców. Chciałam widzieć się z pułkownikiem Malininem, czy go nie ma?

PANOWA: Nie ma.

LUBOW: Jaka szkoda... Poczekam.

PANOWA: Proszę.

LUBOW: Pawło Pietrowna, ja... o żegłowcach... Wania powiedział...

PANOWA: Posłuchajcie...

LUBOW: Nie, to wy posłuchajcie!

PANOWA: Słucham.

LUBOW: Pomóżcie. Powiedźcie moja droga... w waszych rękach życie takich ludzi, takich ludzi...

PANOWA: Gdyby rzeczywiście w moich rękach było życie takich ludzi, to chętnie bym ich uduśiła.

LUBOW: Nie wierzę.

PANOWA: Możecie wierzyć. Gdyby na miejscu żegłowców byli biali zabójcy a wy na moim miejscu, czy ratowalibyście ich?

LUBOW: To się nie zdarzy. Ale obie jesteśmy wdowami. Czyż chcecie, żeby było nas jeszcze więcej?

PANOWA: O, chce! Idźcie już.

(Czyr przynosi korespondencję, kładzie na stole i wychodzi).

LUBOW: Co to?

PANOWA: Nowa korespondencja...

LUBOW: To może właśnie tu...

PANOWA: Wszystko być może (wychodzi). (Luba podchodzi szybko do stołu, chce przeszkukać korespondencję. Czyr pojawia się w cieniu, Lubow ogląda się, spotyka się ze wzrokiem Czyra).

LUBOW: Przyszłam do pułkownika, i go...

CZYR: Nie ma.

LUBOW: Mam ważną sprawę.

CZYR: Tak.

LUBOW: Trzeba czekać.

CZYR: Trzeba.

(pauza)

LUBOW: Przynieście mi wody.

CZYR: Napój łaknącą duszę twoją wodami sprawiedliwości.

LUBOW: Nie dacie? Judasz! (chce wyjść).

CZYR (zastępując drogę): Nie Judasz. Hiob — święte imię moje.

(Wchodzi Malinin).

MALININ: Co, o co chodzi?

LUBOW: Chciałam się poinformować.

CZYR: W papierach chciała się poinformować.

MALININ: W papierach? Kto Pani jest?

LUBOW: Nauczycielka. Chcę się dowiedzieć...

MALININ: Co?

LUBOW: Wczoraj aresztowano moich uczniów. Chłopcy z dobrych szlacheckich rodzin, dobrze wychowani... to chyba nieporozumienie.

MALININ: Zdarza się. Niech Pani spocznie.

LUBOW: Przyszłam więc prosić... w sprawie uwolnienia. (Zapomniawszy się, wpatruje się chwilę w papiery leżące na stole).

MALININ: (chwytając jej spojrzenie) Więc Pani przyszła dowiedzieć się czy prosić?

LUBOW: Tak... Bardzo proszę.

MALININ: Jak Pani godność?

LUBOW: Jarowa...

MALININ: Może krewna porucznika Jarowego?

LUBOW: Tak... daleka. Mieszkałam u nas w majątku jako student. Ponieważ okazał się czerwony, musieliśmy się rozstać.

MALININ: A gdzie jest majątek państwa?

LUBOW: Mój Boże, gdzież teraz wszystkie majątki? Kiedyż, kiedy pułkownikowi drogi, zwróćcie je nam?

MALININ: Cierpliwości proszę Pani, cierpliwości. Wszystko z Bogą pomocą zwrócimy.

LUBOW: Nadzieja tylko w Bogu i w was.

MALININ: Dziękuję, dziękuję. Staramy się. Zaraz zobaczę, co z pani sprawą. Proszę bardzo poczekać minutkę.

LUBOW: Pan będzie łaskaw.

(Malinin wychodzi zostawiając drzwi nie domknięte. Lubow podchodzi do stołu i wyciąga rękę ku papierom. Drzwi otwierają się gwałtownie. W drzwiach staje Malinin).

MALININ: No! Czego pani tam szukała?

Informacji? O czym? Proszę mówić prawdę.

LUBOW: Nic panu nie powiem.

MALININ: Czy pani rzeczywiście nie jest krewną porucznika Jarowego?

(Lubow milczy).

(Malinin bierze słuchawkę telefonu). Dwa-nastę. Czy jest u was porucznik Jarowy?

Proszę natychmiast do mnie (kładzie słuchawkę), więc pani odmawia odpowiedzi?

(Lubow milczy. Wchodzi Jarow).

JAROWY: Luba...

MALININ: To pańska krewna?

JAROWY: Żona.

MALININ: Ach tak? Nie wiedziałem.

JAROWY: O co chodzi?

MALININ: Pańska małżonka zdradza wielkie zainteresowanie naszymi papierami.

JAROWY: A! Więc to tak!... Proszę wybaczyć pułkownikowi, to mały dramat rodzinny. Moja żona jest chorobliwie zazdrosna. Po prostu nieszczęście! W mojej korespondencji poszukuje listów od kobiet. Podejrzewa, że bilecik miłosne przychodzi adresowane na biuro. Luba! Chodźmy stąd!

(Jarow i Luba wychodzą. Z ulicy słychać hymn, auta).

MALININ: Jego ekscelencja.

(Uroczyste powitanie głównodowodzącego. Straż honorowa. Muzyka. Przedstawiciele Ententy. Delegacje. Matuszka podaje chleb i sól).

ZAKATOW: Zechciejcie wasza ekscelencjo, nasz orle — komendancie, szybujecie nad Rosją — przyjąć wyrazy hołdu z okazji zwycięstwa nad Selezniewką. Te tysiąc jeńców, zdobyte setki ogniołonośnych armat i kulomiotów — to gwarancja, że bliski już czas, kiedy lud rosyjski wypędzi z ojczyzny zdrajców i rozbójników, wkroczy do matki Moskwy i przy malinowym dźwięku jej niezliczonych dzwonów — zwróci swemu prawowitemu władcy tron i ojczyznę.

GENERAL: Dziękuję.

DELEGAT ZIEMIANSKTA: Wasza ekscelencjo! My, ziemianie, żywimy wiarę, że gdy cała ziemia rosyjska zostanie zwrócona jej gospodarzowi — pomazańcowi, to i poszczególne majątki powrócą do gospodarzy ziemian. Albowiem tylko z części może się złożyć całość. Święta Rosja może istnieć jedynie w oparciu o usłudzone prawo własności.

GENERAL: Dziękuję.

DELEGAT PRZEMYSŁOWCÓW: Wasza ekscelencjo, w imieniu przemysłowców mam zaszczyt wyrazić przekonanie, że rozbite ośrodki przemysłowe mogą być odbudowane i zostaną odbudowane reklamami prawnymi właścicieli.

GENERAL: Dziękuję.

FOLGIN: Pozwólcie wasza ekscelencjo zapisać w imieniu inteligencji pracującej: jakiej monarchii mamy się spodziewać?

GENERAL: Dziękuję. Co?

FOLGIN: Jeśli konstytucyjnej, to całym sercem witamy, ale jeśli samowładztwo...

PANOWA: Dobrze. Proszę poczekać na bulwarze. Zaraz będę.

KUTOW: Merci. Czekam. (wychodzi, spotyka w drzwiach Lubę. Luba zatrzymuje się, patrzy za nim. Wchodzi Jarowy).

JAROWY: Pawło Pietrowna, generał prosi panią do siebie z prasą zagraniczną. (Panowa odchodzi).

Pocoś tu przyszedł? (Luba chce odejść, Jarowy zagradza jej drogę).

Poczekaj. LUBOW: Aresztujesz mnie?

JAROWY: Luba... Boże mój... Skończ z takimi pytaniami. Czy spotkał się poto, żeby się rozstać? Mijajcie oczy otwarte. Od miesiąca do noc laż pod twoimi oknami...

LUBOW: Dwa razy cię nie było.

JAROWY: A... kiedy?

LUBOW: Kiedy zasiadałeś w sądzie. A rano wisieli na latarniach...

JAROWY: Luba, gdzie jesteś ty, która ufałaś mi bezgranicznie?

LUBOW: A ty gdzie?

JAROWY: Tu, z tobą. Z tą samą prawdą.

LUBOW: Prawda jest po mojej stronie.

JAROWY: Zamienili ci ją. Wytrawni oszuści. A ja ten sam, co dawniej, zaklinam się.

LUBOW: Ja też do niedawna zaklinałam się na twoją pamięć nienawidząc tego, czym jesteś obecnie.

JAROWY: Za coż ta nienawiść?

LUBOW: Za co?

JAROWY: Wysłuchaj mnie, jak dawniej słuchałaś.

LUBOW: Kogo innego wówczas słuchałam.

JAROWY: Ty mnie nie słuchasz. Jesteś czymś wzburzona.

LUBOW: Ach, znam twój biedny repertuar: jesteś tchórze, pseudo-rewolucjonista, zaprzedał się sojusznikom, jesteś ślepi pacyfiści, Kaini, bratobójcy, czarnoseńcy...

JAROWY: Jeszcze gorzej: u nas chociaż wiara i patriotyzm, a u was tylko własna skóra i brzuch.

LUBOW: Zegnaj (chce odejść).

JAROWY: Poczekaj. Za mało czytałaś.

LUBOW: Luba.

LUBOW: Tak, a ty za mało widziałeś.

JAROWY: Raczej za dużo. Szliśmy do ataku pod Zamościem. W pewnej chwili garstka tchórzów podnosi krzyk: „Precz z wojną”!

Jeden pchnął mnie bagnietem w plecy, drugi postawił kulę w rękę i w nogę. Zabrali mnie Niemcy, wyleczyli, pokazali, jak naród, co z dawaładawna zdobył sobie wolność, o której nam się jeszcze nie śniło — jak ten naród robi teraz prawdziwą rewolucję i stoi na straży kultury. Dla tej wolności — jeśli pamiętasz — nie oszczędzałem nigdy siebie ani ciebie. Nie będę oszczędzał i tych, którzy zaszargali tę wolność i zatopili naród we krwi.

Wojna do końca...

LUBOW: Pod komendą tych samych zandarmów...

JAROWY: To garsć skazańców. Zeschle liście niesione wiatrem. Już wnet obejdziemy się bez nich.

LUBOW: Macie swoich katów.

JAROWY: Kaci — tam.

LUBOW: Na waszych latarniach?

JAROWY: To prawo frontu. Ja ciebie nie puszczę na drugą stronę. Nie poto cię odna-

lałem. Przecież to wbrew naturze — iść nam różnymi drogami. Nasze spotkanie nie będzie rozstaniem.

LUBOW: Gorzej. Nie idziemy różnymi drogami. Zderzyliśmy się na jednej i ktoś z nas musi się stoczyć.

JAROWY: Luba, ja do tego nie dopuszczę.

LUBOW: Cóż — ty! Jesteśmy już innymi ludźmi. Jestem silna, a ty bankrut.

(Wbiega Jelisatow. Na ulicy gwar. Wchodzi parę osób, między innymi Panowa).

JELISATOW: Panowie, nieszczęście! Pułkownik Kutow zabity.

GŁOSY: Jak?... Gdzie?...

JELISATOW: W tej chwili, tam za rogiem, na bulwarze. Musieli go czymś ogłuszyć.

GŁOSY: Ograbili?

JELISATOW: Nie, tylko teczke skradziono.

(Jarowy patrzy na Lubę i Panową).

KURTYNA

Konstanty Treniew

Paulina Czyżowa

AMATORSKI TEATR ROBOTNICZY

(Artykuł dyskusyjny)



„Próba teatralna” Fot. Urbanowicz, Film Polski



„Bywa i tak na świecie” B. Prusa — sztuka wystawiona w ramach akademii 1-majowej w P.Z.P.B. nr 16

Teatralne zespoły świetlicowe łódzkie przygotowały jako czyn przedkongresowy szereg pełnych sztuk z repertuaru klasycznego i przeróbki sceniczne „Zemsta” Fredry, „Skapiec”, „Moliera”, „Skalmierzanki”, „Matka Gorkiego i inne.

Obejrzenie paru tego rodzaju przedstawień nasunęło nam kilka uwag, które przedstawiamy jako dyskusyjne. Nie mamy bowiem prawa sądzić z jednej strony, że forma pełnospektaklowej sztuki na scenie robotniczej stanowi jakąś stałą tendencję polityki kulturalnej Związków Zawodowych wobec teatru ochotniczego, a z drugiej, że osiągnięcia, jakie zdobyły w tym zakresie teatry ochotnicze łódzkie, są miarą osiągnięć teatru ochotniczego w Polsce w ogóle. Raczej przypuszczamy, że sprawa jest ciągle płynna, zespoły, jak wiemy, znajdują się w fazie organizacji, a metody i cele teatru robotniczego — nie są dość jasno określone. Na razie obchodzimy nas stan obecny, a raczej tendencje i kierunek rozwoju na czas najbliższy.

Od dwóch czynników musimy tu zacząć. Po pierwsze — dotychczasowe prace zespołów teatralnych na terenie fabryk wykazały żywiołowe, entuzjastyczne wprost dążenie młodzieży robotniczej do wywyższenia się w sztuce. Nie tylko zresztą młodzieży. W niektórych zakładach pracy, posiadających jakieś przedwojenne tradycje amatorskiego teatru — garna się do zespołów i starsi, zamożniejsi teatromani. Młodzież robotnicza, posiadająca przeważnie oprócz pracy w fabryce — obowiązki szkolne, poświęca z zapałem każdą wolną chwilę pracy przygotowawczej w zespołach teatralnych. Czynniki tu są nie tylko aktorzy przygotowujący sztukę. W świetlicy wykonuje się rekwizyty i dekoracje i nie rzadko stroje. Po przedstawieniu zresztą cały zespół zakasowuje rekwizyty, uprząta dekoracje, przewozi sprzęt — jeśli przedstawienie odbywa się poza terenem świetlicy.

Duga sprawa obok widocznych w samym zespole tęsknoty i zamyślenia do sztuki — to mobilizujące dla sztuki teatralnej w ogóle — znaczenie teatru robotniczego w zakładach pracy, w masach robotniczych. Obok prywatnych zainteresowań osiągnięciami bliższych i towarzyszących pracy, gra tu rolę swoisty patriotyzm fabryki — „nasza fabryka gra”. Zainteresowanie własnym teatrem świetlicowym przenosi się oczywiście i na teatr zawodowy, wyczuła na jego problematykę artystyczną. Teatr ochotniczy — nie będzie chyba przesadą twierdzenie — wychowuje robotniczą publiczność teatralną, tego mitycznego wciąż jeszcze „masowego widza”, o którym tyle się słyszy i mówi.

Tę zresztą sprawę ostatnia można by poszerzyć i wskazać na dużą rolę teatrów robotniczych, na całe środowisko, na całe dzielnice robotniczego miasta, młodzież szkolną, wreszcie środowiska małomiasteczkowe, w których istnieją teatry amatorskie i środowiska wiejskie — odwiedzane przez zespoły robotnicze.

Problemy, których tu musimy dotknąć, są mimo swej obiektywnej ważności dość drażliwe, a to i dla teatrów zawodowych, i dla mniej lub więcej świadomego kierownictwa artystycznego ruchu na terenie Związków Zawodowych.

Teatry ochotnicze na prowincji łódzkiej — są to rzeczy znane nam z relacji działaczy kulturalnych — pełnią nieraz funkcje teatru zawodowego, zastępują go. Odczuwany dotkliwie brak kulturalnych rozrywek i artystycznych przeżyć zmienia tam zespoły ochotnicze na niemal stałe teatryki, grające regularnie jak zespoły zawodowe i ściągające masę publiczności z miasteczka i okolicy. Zespoły łódzkie wyjeżdżające na wieś zatrzymywane są we wsiach znajdujących się po drodze, na trasie do wyznaczonego celu, ściągane do wsi sąsiadnych, gdzie powtarzają przedstawienie, choć nie leżało to w planie wyjazdu.

Poza tym szkoła podstawowa odczuwa tak dalece brak teatru klasycznego szkolnego, typu np. radzieckiego Teatru Młodego Widza, że wykorzystuje niedoskonałe przecież robotnicze spektakle sztuk „obowiązkowych” dla swojej młodzieży. Widzieliśmy salę świetlicową PZPB Nr 1 nabitą przez młodzież szkolną podczas przedstawienia „Zemsta” Fredry.

Nie chcemy tu oceniać tych zjawisk, a stwierdzić tylko ogromne i wielostronne dążenie do przeżywania artystycznych teatralnych w masach robotniczych, chłopskich i drobno-miejszczańskich.

Czynnik ten sprawia, że praca zespołów teatralnych robotniczych staje się ważną nie tylko jako praca kulturalna grupy, kształtująca styl życiowy, poziom umysłowy i zainteresowania artystyczne, literackie poszczególnych członków zespołu, a więc nie tylko jako praca kulturalno-wychowawcza grupy, ale uzyskuje ważność obiektywną ze względu na osiągnięcia artystyczne, ich rodzaj, ich z kolei oddziaływanie społeczne. Ważne są — rzecz jasna — obie sprawy, być może że częściej lub nawet w znacznej mierze pokrywają się. Zajmijmy się jednak drugą sprawą, a więc nie dydaktyczno-wychowawczą funkcją pracy teatralnej dla samych zespołów, a sprawą realnych osiągnięć artystycznych teatru robotniczego.

Są one nierówne, a więc uogólnienie może wywołać słuszne zarzuty niesprawiedliwej i krzywdzącej oceny. Nie chodzi nam tu jednak o to lub inne przedstawienie — nie piszemy recenzji, jak np. zamieścił w Nr 25 „Dziennika Literackiego” Zdzisław Kwieciński — z pokazów teatrów ochotniczych na Kongresie Związków Zawodowych. Wydaje się, że samo „wywołanie z lasu” problemu teatru ochotniczego — będzie miało swoje małe znaczenie w okresie, gdy czynny udział mas ludowych w kulturze narodowej staje się sprawą tak doniosłej wagi, sprawą i dyskusowaną, i podlegającą publicznej ocenie.

Skoro jednak zaczniemy mówić o kierunku pracy teatrów ochotniczych i ich osiągnię-

ciach, wejdziemy w tylekroć dyskutowaną i bodaj nierozwiązaną sprawę — repertuaru dla teatrów ochotniczych.

Związki Zawodowe wydają specjalną bibliotekę teatru świetlicowego, gdzie obok jednoaktówek z literatury klasycznej, przeróbek scenicznych, powieściowych i nowel, stycznych mieszczą się też nowe specjalnie przez literatów napisane sztuki lub sztuczki.

Omówienie tej biblioteki repertuarowej teatru świetlicowego pozostawiamy na inną okazję. Już jednak przejrzenie jej zawartości zwraca uwagę na brak w niej lub bardzo nieznaczne uwzględnienie rodzaju montażu widowiskowego, czy wodewilu społecznego, form teatralnych, które zdawałoby się najbardziej odpowiadać możliwościom zespołu ochotniczego i sceny świetlicowej, często prymitywnej pod względem technicznym. Przeważają natomiast sztuki i sztuczki pełne — wymagające wyrobionych aktorów i wielkiej sceny.

Łódź nie posiada ani jednej wielkiej sali teatralnej dla teatrów ochotniczych. Mała scenka w domu Związków Zawodowych, nie posiadająca żadnych urządzeń teatralnych, nie jest wystarczająca. Nim powstanie teatr robotniczy, jaki jest w planie budowy Związków Zaw. — teatr nowoczesny i ogromny — zespoły muszą się gnieździć na swoich salkach estradowych. Cóż jednak robią? Wystawiają ogromne sztuki, wymagające sceny obrotowej, maszynierii do zmian dekoracji, a przede wszystkim aktorskiego wyrobienia. Tak np. PZPB Nr 8 wystawił „Matkę” Gorkiego w adaptacji scenicznej i reżyserii młodego reżysera Sykały. Całość, przy nieustannych zmianach dekoracji, przy monumentalnych ustawieniach grup — wlokła się bez nerwu dramatycznego, aby ożywić się tylko na moment — a to właśnie w sztucznie wmontowanej scenie baletowej. W żywiołowym tańcu z rosyjskiego folkloru wielki zespół sceniczny ożywił się i rozruszał, wreszcie wiedział, po co zjawił się na scenie, wykonywał to, co było mu bliskie i bezpośrednio dostępne w przeżyciu, podczas gdy inne sceny były przeważnie rezonerskim recytowaniem ról. „Matka” Gorkiego mimo ogromnej wartości ideologicznej dla zespołu, który nad nią pracował, nie była scenicznie osiągnięciem, a potwierdzeniem w świetlicy przedstawienia przygotowanego z ogromnym nakładem pracy i realnych kosztów — nie jest w ogóle możliwe wskutek trudności technicznych. Znakomita powieść okazała się w tej adaptacji całkowicie niescieśniona i zawiodła, choć nie zawiodła publiczność fabryczna na jednym spektaklu w Teatrze Wojska Polskiego.

Inne lecz podobne zastrzeżenie — obudziła np. „Zemsta” Fredry — pokazywana młodzieży szkolnej w PZPB Nr 1. Przedstawienie przygotował z wyraźną rutyną aktorską i reżyserską, z wyraźnym oparciem się o tradycję zawodowej sceny — aktor Teatru Powszechnego — Zygmunt Zintel. Osiągnięcia gry i dykcji w wygłaszaniu klasycznego

wiersza Fredry przez młodych chłopców — robotników budziły niekiedy podziw. Ale gdyby to nie teatr robotniczy, gdyby nie zapal młodzieży, gdyby nie głębokie przejęcie się każdą rolą — powiedziałoby się: szmira, straszliwa prowincjonalna szmira, która chłonną dzieci szkolne z VI, VII klasy, na której uczy się literatury polskiej i Fredry, którą wozi się chłopom razem ze skrzyniami tandetnych kontuszów, czamar szlacheckich i wydekoltowanych sukni, w które ubierają się na scenie aktorki — robotnice. Coś tu jest nie w porządku — stwierdzamy przy całym szacunku dla inicjatywy i pracy w przygotowaniu tego rodzaju kulturalnych imprez. Czy nie tworzy się tu jakieś osobne sztuki dla robotników — nie prowadząc ich, lecz odcinając od dobrego teatru zawodowego (publiczność robotnicza w Łodzi bardzo jeszcze opieszale uczęszcza do teatrów łódzkich, które dotąd należały do najznakomitszych teatrów w Polsce)? Czy nie gra tu roli w kierownictwie podobnymi imprezami pewien snobizm robotniko-mański? Prawdziwy Fredro, prawdziwy Molier na scenie robotniczej, a w gruncie rzeczy ani Fredro, ani Molier, ani także Gorkij — jeżeli nie założymy sobie ze względów swoistej filantropii kulturalnej niesamowitego minimalizmu artystycznego i koniecznego prowincjonalizmu amatorszczyzny teatralnej. W dążeniu do wyrugowania repertuarowej szmiry z teatrów robotniczych posunięto się do skrajności poglądu, że robotnicy na tym etapie wyrobienia mogą i nawet powinni grać wszystko, wszystko to, nad czym z wielkim niecierpliwością pracować muszą fachowe zawodowe zespoły teatralne wyposażone nie tylko w techniczne, ale przede wszystkim intelektualne narzędzia opanowania sztuki. Posunięto się do skrajności, która nie wiadomo, czy podnosi świadomość i wyrobienie kulturalne zespołów robotniczych na tyle, aby równoważyło to porażki osiągnięć artystycznych, teatralnych.

Właściwa droga repertuarowa dla teatrów ochotniczych powinna iść raczej po linii wywyższenia się kulturalnego w treściach artystycznych, bliższych zespołom robotniczym i robotniczej publiczności, w treściach własnych i mogących w realizacji osiągnąć nie jakieś specjalne, amatorskie umniejszone wartości — ale prawdziwe wartości sztuki.

Może jedną z dróg wskazywałby widowiskowy element folkloru — przede wszystkim polskiego, a potem i obcego. Dalej byłaby chyba droga dla ludowego wodewilu, rewii czy społecznego kabaretu — nazwy oczywiście przybliżone i orientacyjne.

Zapowiedź Min. Sokorskiego na Festiwalu Sztuki Ludowej o powołaniu do życia Centrali Teatrów Amatorsko-widowiskowych, posiadającej warsztat teatralno-wzorcowy — daje realne wreszcie nadzieje na zmianę dotychczasowej w rezultatach nie najlepszej polityki kulturalnej kierownictwa świetlic Zv. Zawodowych.

Jakub Wojciechowski

KARTKI Z KALENDARZA



Jakub Wojciechowski w Barcinie

Pracuję już ponad 50 lat, w różnych zawodach. Byłem już ceglarzem i palaczem na lokomotywie. Pracowałem jako górnik w Saksonii i Westfalii, robotnik portowy w Hamburgu. Łazikowałem jakiś czas jako pomocnik do kłębienia karuzeli i prowadziłem wozy tramwajowe w Magdeburgu. Opuściłem kraj w 1899 r. dzieląc losy chłopów-emigrantów. Wróciłem w r. 1924. Odtąd pracowałem w Wapienniu. Po wojnie czynny byłem głównie jako sekretarz najpierw PPR, a później PZPR w Barcinie. Przeprowadziliśmy u siebie reformę rolną, referendum, wybory do sejmiku, ugruntowaliśmy autorytet partii robotniczej, szczególnie po zjednoczeniu. Ale nie było to łatwe. Historia ostatnich lat w małym Barcinie na Pomorzu toczyła się szybko, ale...

PIERWSZE KROKI

W 1945 r. założyliśmy pierwsze koło PPR w Barcinie, przy udziale 37 członków. Na drugim z kolei zebraniu, kiedy to zostałem wybrany członkiem miejskiej i powiatowej Rady Narodowej w Szubinie, zyskał mi w partii ponad 100 nowych towarzyszy. Byli to przeważnie robotnicy z Wapiennia, którzy tam pracowali w kamieniołomach. Kiedy fabryki w Piechcinie i Wapienniu ruszyły na dobre, udało się bez trudu zorganizować tam koła fabryczne. A one same już wybrały sobie własne komitety. Na nas spadł obowiązek tworzenia gromadzkich kół partyjnych. Odbiliśmy szereg zebrań, przeważnie w pałacach byłych jasnie wielmożnych, i szeregi nasze nieustannie rosły.

Pracowałem w Wapienniu jako robotnik chyba ze dwadzieścia lat. Nie pomijam zatem w publicznych wypowiedziach faktów wzrostu robotnika w czasie kapitalizmu. Przypomniałem słowa dra Ludwika Krzywickiego, jakie wygłaszał do nas — robotników różnych narodowości w Hamburgu, wykładając nam Marksę i Engelsa. Nie pomijałem także słów Bebla i Liebknechta, których referaty miałem sposobność słyszeć. W roku 1911 na zebraniu tramwajarzy w Magdeburgu mówił Liebknecht, że zgina cesarze i królowie, książęta i szlachta, a lud pracujący odziedzicza całą ziemię i wszystko, co się na niej znajduje. Wskazał palcem na mnie i powiedział, że on się tego już nie doczeka, natomiast ja doczekam się na pewno. Tak się też stało...

PIERWSZE OPORY

Jakoś na krótko przed niespodziewanym zajściem, które chcę opisać, dostaliśmy zaproszenie na uroczystość poświęcenia sztandaru pułku stojącego w Inowrocławiu. Mój przełożony pojechał już w przeddzień, ja natomiast zostałem. Miałem zebrać partyjne na terenie. W nocy zbudziły mnie strzały. Sądziłem, że to ORMO ma ćwiczenia. Rano wpadł do mnie zdyszany kolporter naszej prasy i powiada, że lokal partii zdemolowany. Z twarzy widać było, że chłop nie żartuje.

Na ulicy 4-go Stycznia zatrzymał mnie któryś z obywateli dziwić się, że żyję. Słyszał bowiem, że Wojciechowski zabił tak sumiennie, iż więcej PPR-u nie ujrzy... Drzwi rozbite, teczki porozrzucone, telefon uszkodzony, kasa z pieniędzmi skradziona. Na szczęście nie było w niej zbyt dużo pieniędzy. Zmarł mi tam ktoś poza wszystkim brakiem doskonałego pióra, jakie mi tak szczerze sprezentowała żona dra Boya-Zeleńskiego.

Nad biurami miał mój zwierzchnik pokój sypialny. Sufit podziurawiony z broni maszynowej. Zaproszenie uratowało mu życie.

Wziąłem się do roboty i gwoździ. Stolarke znam i wspólnie z personelem doprowadziłem lokal do porządku. Do kancelarii przychodzili ciekawie mieszczanie. Niejedni mówili: na co wam to wszystko potrzebne na stare lata, po co się narażać? Odpowiedziałem, że od 1900 roku jestem w radykalnym ruchu robotniczym i nigdy tchórzem nie byłem. Cóż zatem byłbym wart i ja, i moja przeszłość, gdybym stchórzył w Polsce Ludowej?

NASZE MIASTECZKO

W naszym Barcinie 80 proc. domków zbudowali robotnicy, żeby nie jeździć 25 km do pracy w Wapienniu, jak się to zdarza ludziom z Szubina. Te domki budowali robotnicy, którzy odejmowali sobie od ust, by mieć dach nad głową. Te domki trzeba było reperować,

tymczasem smoła i lepik dochodziły do nas raz na dwa lata. Podobna sytuacja była z naszym domem, gdzie miesi się partia. Zaczęły powoli odpadać sufity. Dom poniemiecki, lokatorzy płacili 12—15 zł miesięcznie. Znikąd pieniędzy. W ubiegłym roku zacząłem bić na alarm we wszystkie dzwony. Przepraszam, wszystkie dzwony zabrali nam Niemcy, tylko jeden w swoim kościele zostawili i nim się przy ważnych okazjach posługujemy.

Krzyczałem na wszystkich zebraniach i konferencjach powiatowych i wreszcie się udało. Dostałem polecenie zamówić majstra, magistrat powiedział, że pokryje koszty, pieniądze dała spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”.

Pewnego razu przybył do nas inżynier budowlany i postawił sprawę budowy nowych domków robotniczych, bo będziemy się przecie uprzemysławiać. Po reformie rolnej dostaliśmy śliczne tereny pod rozbudowę miasta, ale jak dotąd jeszcze ich nie wykorzystaliśmy.

W ostatnich miesiącach udało się nasze miasto zradiofonizować. Niemal każdy obywatel posiada w swym mieszkaniu głośnik. Należałem do komitetu elektryfikacji — zachęcałem ludzi, żeby nie odmówili założenia głośnika. Obywatele chcieli, zgadzali się, ale na posiedzeniu komitetu elektryfikacji każdy bał się podpisać weksel, bo kto podpisał, ten musiał sam zapłacić. Zdarzyło się, że przewodniczącemu komitetu elektryfikacyjnego zajęto jego maszynę do wiercenia dziur, którą wypożyczył kowalowi, za to — że nie zapłacił za głośnik. I tu znowu przy pomocy MRN udało się uzyskać zdjęcie pieczęci z maszyny. Dziś mamy prąd przeciągnięty przez całe miasteczko. Nasze miasteczko jest w trudnym położeniu. Wydatki wielkie, a dochody małe. W gazowni brak remontu od 8 lat.

PRACA I ZWIĄZKI ZAWODOWE

Po kilkumiesięcznej pracy w partii zauważyłem, że niemało młodzieży wałęsa się po ulicach Barcina bez żadnego zajęcia. Opracowałem specjalny referat, w którym zaznaczyłem, że Polska zniszczona w 80 proc. potrzebuje młodych rąk do pracy, a tymczasem całe gromady wystają na rynku bez zajęcia. Fabryka w Wapienniu już odbudowana i czeka, aby jak najwięcej ludzi się do pracy zgłosiło. Niektórzy przerywali mi referat, stawiali zarzuty w wolnych wnioskach, ale ostatecznie ulice zaczęły świecić pustką. I bezczynna młodzież zrozumiała, że obecnie nie będzie pracować w Wapienniu na dawne go jej właściciela kapitalistę i milionera. Tu muszę zaznaczyć, że Wapienna to jest historia naszego robotnika po wojnie. Robotnicy uruchomili fabrykę własnymi rękoma, na pierwsze wynagrodzenie czekali przeszło 3 miesiące. Gdy wszystko już szło pełną parą Zjednoczenie zdobyło się na przysłanie dyrektora, ale musiano go zawiesić w czynnościach z przyczyn, o których lepiej nie mówić. Następca jego prowadził fabrykę dobrze. W ubiegłym roku dali robotnicy państwu 3 miliony zaoszczędzonych pieniędzy. Dziś biorą udział we współzawodnictwie pracy. Jeden z robotników tak wielce odznaczył się w wydajności pracy, że Z. Z. mianowało go swoim sekretarzem na zakładach w Piechcinie i Wapienniu. Dziś obie fabryki posiadają swoje sale zebrań, biblioteki i czytelnie, orkiestrę, a co najważniejsze sprawnych robotników, którzy mimo ciężkiej pracy mają czas na kulturę, co dawniej nie było do pomyslenia.

Jan Huszcza

Satyra i humor przed publicznością

Akoja, której tak szeroki rozmach nadała Spółdzielnia Wyd. „Ośw. „Czytelnik” pod zwołaniem „Autorzy wśród swoich czytelników”, a która w innych wypadkach nosi po prostu nazwę wieczorów lub poranków autorskich czy dyskusyjnych — miała dwa cele: zlikwidowanie anonimowości odbiorców słowa drukowanego — z jednej strony, a z drugiej pokazanie temu odbiorcy żywota autora, rozproszenie panoszącego się jeszcze do niedawna młodopolskiego mitu o jakimś jakgdyby beczelnym, wyrwanym z otoczenia, twórcy.

Ponieważ — jak dotąd — miałem dużo występów autorskich, lecz prawie wyłącznie w Łodzi, zaś poważniejszy wyjazd na teren zdarzył mi się zupełnie niedawno, niestety, nie umiem oprzeć się pragnieniu napisania o tym, żywiąc przy tym cichą nadzieję, że coś z tego opisu przyda się dla wyciągnięcia wniosków ogólnych.

W Nowym Mieście nad Pilicą, gdy — ku żywemu, jak mi się wydawało, żalowi słuchaczy — zakończyłem wreszcie czytanie felietonów, humoresek i wierszy i próbując nawiązać rozmowę, zwróciłem się jak zwykle, z prośbą o stawienie pytań — ktoś do wzięcia odpowiedział, że się boi, no, bo narażać się ewentualnie satyrykowi nie jest rzeczą bezpieczną; a mu, albo tu na sali, albo przy innej okazji wykpi pytającego?

Wtedy musiałem coś niecoś opowiedzieć o tym: jak należy rozumieć i jak rozumieć rolę i zadania satyry.

Wygłądało to mniej więcej tak: Praca pisarza satyryka ma wielkie znaczenie społeczne. Nie ma nic wspólnego z beztroską zabawą w „jeżdżanie”. Chodzi takiemu pisarzowi o wyszczepianie demonstrowanie świata ujemnych wartości, świata, ludzi, z którymi jesteśmy w walce klasowej. To zjadliwe, bojowe demonstrowanie przez satyrę uczy szybko ujemnych ludzi czy ujemne zjawiska życiowe dostrzegać i poznawać. Pisząc, staram się przedstawić zjawiska, będące w mniejszym lub większym stopniu typowymi. Demaskowanie pojedynczych faktów czy też poszczególnych osób to już raczej rzecz dziennikarza, rzecz prasy, docierającej do szerszego czytelnika, ukazującej się w różnych miastach, ba, nawet miasteczkach (choćby w formie mutacji).

Ze uogólnianiem osiąga zamierzony cel, o tym przekonałem się — choć właściwie nie potrzebowałem się przekonywać — w godzinę później. Mianowicie, gdy w liczniejszym towarzystwie, — owianym ciepłym, wilgotnym zmięrczem majowym — wyszliśmy na spacer, jeden z moich rozmówców nachylał się do mnie i szepcza:

— Ależ dobrze go pan przedstawił!

— Kogo? pytam z nutą tzw. zdziwienia w głosie.

— No, tego... tego... (tu wymieniono nazwisko jednego z miejscowych działaczy)...

— Panie — odpowiadam — przecież ja go nigdy na oczy nie widziałem, a w waszym mieście jestem po raz pierwszy, choć absolutnie nie chcę przez to powiedzieć, że po raz ostatni.

— Wiem, że go pan nie zna... Ale...

W rozmowie tej chodziło o felieton pt. „Sodowiarze”. Felieton na temat tych ludzi, którym ze względu na stanowisko uderza do głowy tzw. woda sodowa. Felieton ten czytałem nieraz, czytałem go na prowincji, czytałem go w grudniu ub. roku w Łodzi, w b. Widzewskiej Manufakturze, przed kilkoma tysiącami robotników, w Państwowych Zakładach Sztucznego Jedwabiu w Tomaszowie Mazowieckim. I zawsze żywiołowy śmiech, przerywające czytanie oklaski. A więc już sam temat! I tu konkluzja: śmiech i żywiołowa reakcja budzi artystycznie opracowany temat bliski szerokim rzeszom. „Humor czysty” (humor czy satyra, mniejsza o to: granica jest tak płynna, że trudno odzielić te pojęcia), „chwyt” — gorzej, a wcale „nie chwyt” humor, przeniesiony ze środowiska kawiarnianego, humor poprzetykany nazwiskami ze środowiska autora.

Cenię różne formy satyry i różną jej treść, różne odcienie, od polityczno-społecznej po czynając a na (żeby nie wdawać się w szczegółowe wyliczenia) obyczajowej kończąc. Sam w skromnym zakresie również próbuję różnych form i różnych chwytów, chodzę mi jednak w tej chwili o pewne niezdrowe, rzucające się swoją jasnością w oczy, przerosty, o zbyt wąski krąg tematów, uprawianych przez niektórych utalentowanych kolegów...

Na łamach naszych bardzo niekiedy popularnych tygodników i gazet panoszą się humor, będący właściwie publiczną grzecznością korespondencji między literatami.

Panoszą się również utwory, stanowiące jeszcze jedną wersję na temat „trójkąta małżeńskiego”, „pani modnej” czy „przepalonej wątróbki”. Dla kogo to? Bo ja wiem, trudno mi odpowiedzieć: chyba już nawet i nie dla mieszczańskich odbiorców. Niektórzy autorzy po prostu nie bardzo jeszcze zdają sobie sprawę z tego, czym jest w naszej rzeczywistości satyra, czym humor, walczący o nowego człowieka, o nową obyczajowość. Nie bardzo sobie zdają sprawę, albo też — zdają, lecz na razie nie umieją wybrnąć z zakletego kręgu, nie umieją znaleźć innej, bliższej życiu szerokości mas tematyki, nie umieją odświeżyć środków wypowiedzi...

Ciągle jeszcze bujnie pleni się u nas kalambur (palme pierwszeństwa tradycyjnie trzyma Kraków, miasto nie dających się ongiś bez zdenerwowania czytać „Wróble na dachu”). Kalambur — to najbardziej bezpłodna, jałowa i donikąd nie prowadząca igraszka. Zastrzegam się: miła niekiedy igraszka, lecz — na lzy burmistrza Rzeszowa, — czas pohamować jej nadużywanie!

W Tomaszowie Mazowieckim wiceprezydent miasta, gdyśmy wyszli z domu kultury, wyrecytował satyryczny wiersz Brzechwy. W Nowym Mieście nauczyciel matematyki z zakletego gimnazjum, jak się okazało, umiał na pamięć dziesiątki satyrycznych wierszy Tuwima. Nie pamiętałem już gdzie, pytało mnie o Zygmunta Fijasa.

O co chodzi? Chodzi o to, że satyryków, jak dotąd, najrzadziej wysysa się w teren. A, bo są za trudni — słyszy się tu i ówdzie. Ciągłe jeszcze panoszą się w redakcjach, w instytucjach kulturalno-oświatowych Duijsy demokracji. To oni uważają, że inna musi być literatura dla robotnika, inna dla chłopca, inna dla inteligenta.

Burmistrz Nowego Miasta, człowiek awansu społecznego, opowiadał mi o wrażeniu, jakie odniósł słuchając pewnej mojej, jak mi się wydawało, dla inteligencji zawodowej napisanej humoreski. Rozumiał jej dowcip i intencje tak jak i ja to rozumiałem. I jeszcze co mi mówił ów burmistrz, gdyśmy schodzili schodami tamtejszej szkoły powszechnej. Ze właśnie dwa czy trzy lata temu on też chodził jako stolarz robił, że — bo żartem teraz jedna z nauczycielek apelowała do niego o fundusze na ich remont — dobrze o tych schodach pamięta. Pamięta, gdyż sam bardzo chciałby teraz mieć siedem lat. Gdy-

ZJEDNOCZENIE PARTII ROBOTNICZYCH

Na naszym terenie istniała PPS jeszcze przed wojną i obudziła się w dwa lata po jej zakończeniu. Pierwszy jej założyciel rzadko kiedy był trzeźwy, a w końcu dostał się za kraty więzienne za to, że przekroczył siódme przykazanie. Jego miejsce objął pewien kolejarz. Odtąd wpływy lewicy w PPS-ie znacznie się wzmożyły. I chociaż trudności w nawiązaniu współpracy z naszą partią jeszcze były, to jednak z dnia na dzień opory malały.

W czasie, kiedy już było wiadomo, że obie partie mają ściśle współdziałać, a w niedługim czasie połączyć się, zostałem zaproszony na plenarne posiedzenie PPS. Jako gość przysłuchiwałem się ciekawie obradom. Gdy mówiono o zbieraniu pieniędzy na sztandar — poprosiłem o głos. Postawiłem propozycję, żeby się wstrzymać ze składką na sztandar, bo obie partie będą niebawem połączone, chcemy mieć przecież jednolitą klasę robotniczą. Większość rozumiała już doniosłość i potrzebę zjednoczenia ruchu robotniczego, a tylko nieliczni z uczestników przyjmowali moje słowa śmiechem.

Po jakimś czasie sprawa współpracy ruszyła. Kosztowało nas wiele trudów rozpoczęcie wspólnej pracy. Trzeba było oczyścić szeregi. Kogóż z nich nie było? Po usunięciu prawicowych elementów w PPS-ie obradowaliśmy już wspólnie. Nadchodzą bowiem nowe prace. Zdarzało się nieraz, że dni i noce przesiadywałam rozważając metody rozwiązywania rozmaitych zadań, które też wspólnymi siłami wykonywaliśmy.

Obie partie połączyły się uroczystie i od szeregu miesięcy mamy w Barcinie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.



rys. S. Cieloch

by je miał, to by mu obecny czas pozwolił na normalne ukończenie szkół, na co nie pozwolił mu czas jego dzieciństwa, jego młodości.

Satyra pomaga prowincji krytycznie rozjeżdżać się w swoim otoczeniu, skrytykować samych siebie, odprężyć. (Niedobrze, że występy autorskie odbywają się w dni powszednie, a źle, że czasem w godzinach zaledwie popołudniowych, ale to wina trudności technicznych, m. in. komunikacyjnych)...

Ludzie nowi, ludzie awansu społecznego, jakże często naprawdę doskonale rozumieją swoje zadania. Np. burmistrz Rawy Mazowieckiej biada nad nieprawidłowością tego bardzo przez wojnę zniszczonego miasta. Marzy o przemyśle. Nie tylko marzy, ale już konkretnie zamierza, wspólnie z innymi, spróbować hodować drzewek morwowych.

W powiecie rawsko-mazowieckim — jak informował inspektor szkolny ob. Strojowski — zelektryfikowano i zradiofonizowano 10 wsi. W powiecie zorganizowano 20 przedszkoli, w tym znaczna ich część przypada na wsie: wymowne, a zupełnie nowe wydarzenia!

W Tomaszowie jakiś uczeń — syn chłopski — zapytał mnie o moich wiejskich słuchaczy. Zawstydzili mnie. Niestety, musiałem szczerze się przyznać, że o tych nic mi nie wiadomo, nigdy mi się nie zdarzyła okazja spotkać z nimi. Wierzę, że się zdarzy. Byłoby to nowe doświadczenie autorskie, tak bardzo ważne, bo doświadczenia wynikające z kontaktu osobistego z czytelnikami — jak się okazuje — należą do bardziej cennych i pouczających, niż niejedna recenzja czy kawiarniana dyskusja.

W NUMERZE 27 (206) TYGODNIKA „WIEŚ” z dnia 3 lipca 1949 r.

Witold Łukaszewicz — Pierwsze echa socjalizmu naukowego w prasie polskiej 1846 roku; „O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”; Tadeusz Kubiak — But Generała; Jan Szczepański — O orientację w rozwoju kultury na wsi; Piotr Wyrobek — W roku Mickiewicza; Stefan Ignar — Droga nasza — spółdzielczość; Wanda Leopoldowa — O naukę i prawdę; Jadwiga Iwanowska — Szkolna popularyzacja; Władysław Ozga — Budownictwo szkół wiejskich; Józefa Witkowska — Pamiętnik służącej; Stanisław Cieślak — U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie; Wiesław Jazdzynski — Zyciorysy górników; Józef Pogan — „Krytyka miłująca”... wrogów?; Marian Nowakowski — Jeszcze o wyższych studiach korespondencyjnych; Fakty i zdania; 16 ilustracji, 12 stron.

Leszek Kołakowski

NAUKA PRZED SĄDEM
OBSKURANTAczyli ks. Rostworowski unicestwia
wiek XX

Majowy numer „Przeglądu Powszechnego” opublikował dzieło ks. J. Rostworowskiego pt. „Początek pierwszego człowieka w świetle objawienia i katolickiego poglądu na świat”. Jest to praca prawdziwie nadprzyrodzonej wnikiwości. Jako okaz katolickiego obskurantyzmu — iście nieporównana. Myśliciel, głowiąc się nad starym konfliktem między nauką i baśnią biblijną o stworzeniu człowieka, konfrontuje orzeczenia obu i niefrasobliwie odrzuca z nauki wszystko, co kłóci się ze słowem Bożym.

Najpierw biada, że katolicyści uczeni nie bardzo są skorzy do wierności objawionej legendzie i że „gromadka uczonych, tych zwłaszcza, co z paleontologią i paleoantropologią więcej mieli do czynienia, nie oparła się pokusie czy to złudnych oczywistości „naukowych”, czy sugestii efektownie skonstruowanych teorii”; inni nieszcześliwcy, jak powiada, „usiłują wprawdzie trzymać się pewnych nieprzekraczalnych granic prawd, czy to nieomylnie określonych, czy teologicznie pewnych, ale, mimo szczerých zapewnień prób i wysiłków, nie mogą swoich teorii szczęśliwie przeprowadzić przez ciemny niewątpliwie katolickich zasad” (str. 310).

A przecież... „musimy... wykluczyć... su-
pozycję, że ludzie nie tworzą jednej rodziny, pochodzącej od jednej jedynej pary, ale, że pojawiali się na ziemi w różnych miejscach i czasach, jako owoc ewolucji różnych gałęzi wielkiego drzewa organicznego życia”; błędność tego mniemania jest dowiedziona ponad wątpliwość, gdyż ono „nie da się żadną miarą z katolickimi zasadami pogodzić”.

Po przyjęciu tej bezspornej prawdy stwierdza autor, że skoro człowiek narodził się z małpy, Bóg mógł z nim postąpić dwojako: albo zmienić radykalnie jego ciało na swojsze ludzkie, dając przez to duszy „odpowiednie do godności człowieka materialne jej mieszkanie, albo zostawił je na tym stopniu, na jakim służył dotąd czysto zwierzęcemu pierwiastkowi życia”. Otóż, zapytuje autor, jeśli przyjmujemy pierwszą ewentualność „czy da się rozumnie uzasadnić ogromny i wieloraki cud unicestwienia formy zwierzęcej, przekształcenia urośniętego przez nią organizmu i wiania w ten organizm duszy ludzkiej? Czy samo nasuwa się pytanie: Cui bono? Czy taki proceder miał lepiej odpowiadać mądrości Bożej? Czy był lepiej dobrany do uwydatnienia godności człowieka i jego, tak silnie zaznaczonej w objawieniu, odrębności od zwierzęcia?” Jeśli jednak pozostawimy mu takie ciało, jakie powinien byłby mieć zgodne ze świadectwami nauki, wówczas miałby „wygląd zupełnie małpy, mózg o połowę prawie mniejszy od dzisiejszego człowieka, wargi niezdolne do wydania ludzkiej mowy”. A jednak, pierwszy człowiek — „jak wiemy z dogmatyczną pewnością(!) nie tylko nosił w swej naturze obraz i podobieństwo swego Stwórcy, ale stworzony od pierwszej chwili w łasce nadprzyrodzonej, posiadał uczestnictwo „Bożej natury”, był i wedle ciała nieśmiertelny”, wobec czego musiałby być piękny cielesnie, a „jeżeli... chodzi o piękność ludzką jako taką, nie jest prawdą, żeby normy tej piękności były czymś zupełnie względny” (coż za język niezdarny!).

Cóż jednak począć z wykopaliskami, które ukazują nam człowieka pierwotnego, zgola niezgodne z informacjami ducha św.? Nie stanowi to dla księdza najmniejszej przeszkody. To tylko nauka! Zaś uczeni, którzy bronili jej postulatów „zapomnieli... że **po-
nad biologią mamy inne, bez porównania
pewniejsze dane** (podkr. LK), dotyczące początków i dalszych dziejów ludzkiej rodziny. Oto przez ludzkość, w osobie jej pierwszych rodziców — jakkolwiek pojmemy ich pojawienie się na świecie — przeszła ta straszliwa katastrofa, która nosi miano pierwotnego grzechu. O tym grzechu zaś mówi określony dogmat wiary, że przezeń pierwszy człowiek „co do ciała i co do duszy odmienił się na gorsze”.

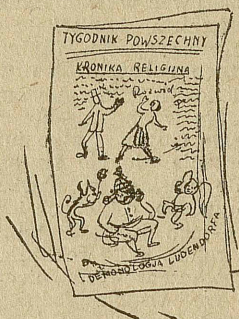
A więc wykopaliska, to wynaturzenia, jakim uległ człowiek wskutek grzechu pierwotnego! Toteż, jak trafnie stwierdza autor, „dopóki nie obali się fakt, którego obalanie niepodobna, że grzech pierwotny, jak stwierdza cała nauka katolicka, wykołubił ludzkość z dróg zdrowego rozwoju i popchnął ją w dół do moralnego najgłębszego, ale zarazem i do fizycznego poniżenia, dopóty z danych znaleźć nic nie można, wynioskować o początku i wyglądzie pierwszego człowieka”. No bo, proszę, nauka jest bezcelna! „Sama logika systemu pcha ewolucjonistów do tego, do czego mają zresztą serdeczną ochotę, tj. do zaliczenia między bajki, wbrew całej nauce katolickiej, przesłcinie i głębokiej opowieści biblijnej, o początku pierwszej niewiasty. Ale gdyby to było dopuszczalne, cóżby nam zostało z ksiąg Mojżeszowych, jeśli byśmy zaczęli to z tych, to z innych powodów, a powodów nigdy nie braknie (wreszcie zdanie, któremu niesposób odmówić słuszności! LK) wyrzywać z nich kartę po kartę?”

Oszczędźmy przytaczania wywodów o stworzeniu kobiety z żebra adamowego, w której to sprawie „od literalnego znaczenia tekstu odstępować katolikom nie wolno” (miłostierdział). Dowiadujemy się jeszcze z dzieła, że bóg „jedne plemiona lub ich części, za ciężkie przyswiny dotykał kara, a niekiedy skazywał i na zagładę... zaś „inne narody dźwigał w górę, wytwarzając w nich typ ludzi, wyższy, niż u innych ludów im współczesnych”. Mamy więc i Herrenvolk w es-
sach

Ciekawe, ale nie dziwi

Może kto z czytelników chce się zorientować we współczesnym życiu religijnym Polski i świata? Nic łatwiejszego, jak zająć się do „kroniki religijnej” „Tygodnika Powszechnego”.

W ostatnich „Faktach i Zdaniach” „Więść” poruszyła tylko sprawę „katolickich przedsiębiorców” (a jednak: osobno związek „katolickich” przedsiębiorców i osobno „katolickich” robotników). Przecież jednak podobnych — nie religijnych zapisków kronikarskich znaleźć można w „T. P.” dużo więcej.



Oto nota o rozwodach w USA... oto wzmianka o „demonologii Ludendorffa” (który został poddany działaniom trzech nadnaturalnych sił: Żydów, jezuitów i masonów) — wzmianka niby ironiczna — ale cóż z tego, kiedy wygląda na relację o książce Wilmfeda Martiniego „Legenda domu Ludendorffów”; oto znowu triumfalne odkrycie wikariusza apostołskiego w Kiwu, mgr. Ryszarda Cleire, który ogłosił „ostre i stanowcze list pasterski przeciw wyszkwilowi pracy ludzkiej w koloniach afrykańskich”; że „sprawiedliwość społeczna jest potrzebna w Afryce tak samo jak w innych częściach świata...” (patrzcie państwo — ale listu o położeniu robotników francuskich, angielskich, polno- i południowo-amerykańskich żaden wikariusz nie ogłosił, widocznie to „współczucie” dla biednych robotników ma też swoje granice...), itp. itp.

Ciekawy jest dobór... kroniki religijnej. Czy dziwiłaby w zestawieniu z... Ludendorffem np. — wzmianka o procesie Doboszyńskiego?

Czytelnik

Na tropie...

Powojenna powieść chłopka nie znalazła dobrego przyjęcia u p. Lichniaka, krytyka literackiego i laureata tygodnika „Dziś i Jutro”. Stawia on jej tysiąc i jeden zarzutów, kierując się przy tym chrześcijańską troską, że powieść chłopka winna stać się „prawdziwym dziełem sztuki”. A tymczasem w artystycznym odczuciu krytyka książkę Gałaja, Pięta, Pogana to... „kiczowate bohemy”. Ani w nich kompozycji, ani porządku nie poprowadzonej akcji. Dla Lichniaka jest źle, gdy Gałaj pokazuje chłopów roztrząsających kwestie polityczne, no bo przecież byłoby właściwie, gdyby nadal roztrząsali tylko... gnój. Ale dla Lichniaka jest także źle, gdy Pogan poprzestaje na suchym opisie zdarzeń, no bo powinien przecież opatrzyć je politycznym komentarzem. Jak tu krytykować dogodzić? Otóż można. Autorzy powinni zrozumieć, że powieści swoje źle pisali dlatego, ponieważ wychodzili z błędnego założenia, mianowicie — „socjologicznej koncepcji człowieka”.

Krytyk sugeruje, że dzieła ich miałyby zupełnie inny walor literacki, gdyby pisarze chłopscy starali się oddać w swoich utworach „pełnię człowieczeństwa rozumianego personalistycznie”. Na czym to ma polegać,

okazałoby, i to z bożej łaski. Radziłobyśmy tylko wiedzieć, które to spośród narodów współczesnych są taką siłą nadziemską dźwignięte w górę? Może ks. Rostworowski odpowiedzieć na to w sposób apolityczny?

Ale autor poi się mistyczną wiarą w możliwości zniszczenia bezbożnictwa wiedzy naukowej: „ufamy też — powiada — że mi nie niebawem ewolucjonistyczna gorączka w sprawie pochodzenia ludzkiego ciała... a nad kolebką ludzkości świecić będzie nadal jak świeciło od trzydziestu kilku wieków to wspa-
niałe słowo najstarsze z Ksiąg natchnionych...”. Dodajmy, że ideały pobożne zostały już tu i ówdzie zniszczone. Np. w Hiszpanii. Tam przyświeca narodowi wyłącznie słowo boże, objawiane przez kościół i jakoś szczególnie minęła ewolucjonistyczna gorączka.

Całość? Nil novi. Zwykłe zwyrodnienie umysłowe, po kościelnemu wynaturzone. Ale jest druga strona tej sprawy. Tacy ludzie przecież zajmują się nauczaniem młodzieży.

L. Kołakowski

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ogłoszenia przyjmują Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 90,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 950,— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-04404

FAKTY i ZDANIA

tego Lichniak nie precyzuje dokładniej w swoim końcowym artykule o powieści chłopskiej („Dziś i Jutro” Nr 26). Czytelnik chcąc sobie trochę sprawę wyjaśnić sięga po „Tygodnik Powszechny” w nadziei, że tu znajdzie jakąś ilustrację katolickiego systemu oceny literatury. W ostatnim numerze 26 natrafia właśnie na recenzję o książce Betty Macdonald „Jajko i ja”, podpisaną literami Zms. O książce wspomnianej dowiadujemy się, że jest ona „dobrze pisana”, że recenzent czytał ją z prawdziwą przyjemnością. Dzięki jakim walorom zdobyła przychylny sąd krytyka? Mówi on o niej, że jest „jedynie wesoła, beztroska opowieścią o przygodach kobiety i jej pionierskiej walce z kuchnią, praniem, prasowaniem i zapasami”. Sprawa dla nas zaczyna się wyjaśniać. Jesteśmy powoli na tropach rozumienia, na czym polega oddawanie „pełni człowieczeństwa rozumianego personalistycznie”.

M. K.

Na chwałę przyjaźni

Amerykanie mają obecnie okazję oglądania w New Yorku bardzo ciekawej wystawy przemysłu niemieckiego. Ekspozycja wystawia 511 firm niemieckich, między nimi koncern I. G. Farben, którego fabryki miały być, jak wiadomo, zdemontowane. Ale nie tylko I. G. Farben. Także przedsiębiorstwa konfekcyjne Lodenfrey — dawny dostawca Gestapo i znana firma win szampańskich Henkel — własność Ribbentropa (obecnie jego żony). Wystawie patronują generałowie Clay, Robertson i Koenig, którzy w organie giełdy wojorskiej — „Journal of Commerce” — poświęcili odbudowującemu się przemyślowi niemieckiemu szniste artykuły, z których wynika jasno, jak dalece państwa anglosaskie pogwałciły uchwały poczdamskie. Dziś goszcza Amerykanie 300 przedstawicieli odbudowującego się przemysłu niemieckiego, którzy przepłynęli Atlantyk dla uczczenia przyjaźni amerykańsko-niemieckiej.



Ale nie z samych przyjaciół dawnych hitlerowców składa się naród amerykański. Przy wejściu do Rockefeller Centre, gdzie odbywa się wystawa, manifestowali i manifestują członkowie ruchu demokratycznego. „Ile dacie za abażur ze skóry ludzkiej, wykonany przez Ilz Koch?” „Nasi synowie nie polegli po to, by Ameryka odbudowywała Niemcy hitlerowskie” — takie napisy nieśli manifestanci. Prasa demokratyczna przypuszcza, że po wystawie przemysłu niemieckiego, zorganizowanej Wall Street wystawę zbrodni niemieckich. Rzeczywiście, z dotychczasowej polityki amerykańskich kapitalistów — tak by wynikało.

D. P.

Rzekome niezangażowanie

Ponieważ szereg polskich pism katolickich wspominało częstokroć z nietajonym zachwytem o „La vie intellectuelle”, sięgnąłem do tego periodyku, szukając źródeł natchnienia naszych rodzimych religiantów. Przyznaję, zajmowałem się głównie artykułami politycznymi, ale nie żałuję tego. Były bardzo pouczające. Otóż w numerze czerwcowym owego miesięcznika niejak pan Viatte zajmuje się sytuacją w Chinach. Robi to „obiektywnie”, broń Boże nie entuzjazmuje się planem Marshalla, nie podziwia osobowości Dean Achesona. Stoi na stanowisku trzeciej siły. Ani komunizm, ani kapitalizm. Ale ta zonglerka nie wychodzi. Publicysta traci pod koniec swe rzekome niezangażowanie. Widzi w zwycięstwach chińskiej armii ludowej gróźbę „dla wolności całego świata”. Czyje wolności p. Viatte? Całego świata? A czy nie przypadkiem szczupłych grup wielkich kapitalistów. Im tylko gwarantował wolność uciemiężony proletariatus chiński, ugniatany przez władzę Czang-Kai-Szeka.

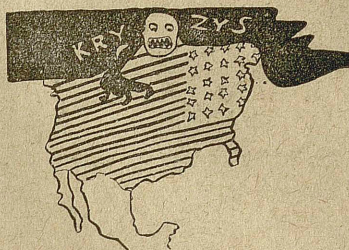
A. M.

Przyszła kryska...

27 czerwca Federalny Zarząd Rezerw podał do wiadomości, że poziom produkcji przemysłowej w Ameryce uległ w ciągu maja obniżeniu o 5 punktów, w porównaniu zaś z rokiem ubiegłym o 21 punktów. Na najbliższą przyszłość Federalny Zarząd Rezerw przewiduje dalszą obniżkę produkcji.

„Journal of Commerce” charakteryzuje obecny stan przemysłu ciężkiego (przede

wszystkim stalowego) jako „jeden z najbardziej gwałtownych upadków w historii przemysłu stalowego, który już od dawna znany jest — gwałtownych wahań popytu i podaży”.



Równolegle powiększa się liczba bezrobotnych i liczba bankructw. Spółka „Duntland Bredstreet” donosi, że w ciągu pięciu miesięcy br. zbankrutowały w Ameryce 3.753 firmy w porównaniu z 2.080 w odpowiednim okresie roku ubiegłego.

Wiadomości te nie wymagają komentarzy. Są niedwuznacznym dowodem zbliżającego się kryzysu gospodarczego.

R. G.

Jest tyle do zrobienia

Urodziłam się 5.II 1922 r. we wsi Godzianów. Siedmiodziesiątą szkołę powszechną skończyłam w tutejszej wsi. Chociaż byłam zdolna i chętna do nauki, uczyć się dalej nie mogłam, gdyż ojciec mój był tylko kowalem i z trudem zarabiał na utrzymanie rodziny składającej się z pięciu osób. Toteż zamiast do szkoły, poszłam na służbę. Mając szesnaście lat wyszłam za mąż za biednego chłopaka z sąsiedniej wsi. Do roku 1946 mieszkaliśmy z rodzicami. W tym roku postawiliśmy sobie dom, w którym nareszcie po ludzku mieszkamy. Ziemi nie mamy. Mąż dostał pracę w Gminnej Spółdzielni Samo-
pomoc Chłopska w Godzianowie, zarabiając 9.200 zł miesięcznie (do otrzymania tej pracy dopomógł mu artykuł kol. Mozgaj zamieszczony w czasopiśmie „Więść”). Dzieci mamy dwoje.

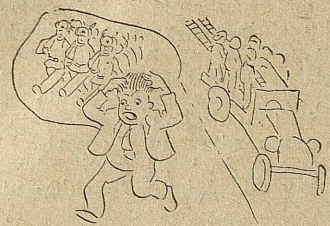
Bardzo często zastanawiam się nad tym, dlaczego jedni ludzie mają wszystkiego w bród chociaż sami nie pracują, a drudzy muszą się napracować i końca z końcem nie mogą związać. Dlaczego bogaty jest zawsze mądry a biedny głupi i wysmiewany? Pytań tych byłoby bardzo dużo. Chcąc dać sobie na nie odpowiedź postanowiłam się uczyć, chociaż w moich warunkach nie jest to łatwe. Mimo wszystko nauka idzie mi jakoś naprzód. Uczę się korespondencyjnie. Gdy czasem nie mogę czegoś zrozumieć, to zwracam się do profesorów lub uczniów tutejszego gimnazjum, a oni mi chętnie udzielają pomocy. Po zdobyciu wiedzy pragnę wziąć czynny udział w pracach społecznych, od których u nas we wsi kobiety są odsunięte. Uważam, że i kobiety winny na równi z mężczyznami wziąć swoje sprawy w swoje ręce. Jakże dużo jest na tym polu do zrobienia! Gdy się na wsi dowiedzieli, że ja się uczę — podśmiewali się ze mnie. Lecz ja się nie boję złośliwych przycinków, ani głupich uśmiezków i wprawdzie wolno lecz twardo stawiam kroki naprzód. Nie chcę być głupsza od moich dzieci, które też muszą się uczyć, aby wyjść na światłych obywateli.

Zofia Maratowa

Godzianów, woj. łódzkie

Casus Foresta!

Przed niedawnym czasem, jak wiadomo, zwirował w Stanach Zjednoczonych minister wojny — Forestal. Przyczyną szaleństwa była mania wojenna: Forestalowi zdawało się, że wojska radzieckie wkraczają na terytorium Ameryki. Niewinne auto strażackie zamieniło się w jego umyśle w czołg radziecki.



Casus Forestala znajduje coraz więcej nasładowców.

Otóż Agencja United Press podaje wiadomość o nowym przypadku pomieszania zmysłów. Senator Wyley w Stanie Wisconsin zażądał patrolowania lądowych, morskich i powietrznych granic USA w celu uniknięcia penetracji, jak oświadczył — „radzieckich agentów uzbrojonych w broń biologiczną i atomową”.

Te wiadomości celowo szerzy prasa amerykańska. W tym oczywiście celu, by otumaniać naród amerykański. A Amerykanie — jak wykazują protesty przeciw polityce paktu atlantyckiego i licznych postępowych organizacji amerykańskich — coraz mniej wiary dają oświadczeniom swej prasy.

Tymczasem zaś psychoza wojny zatruwa samych podlegaczy wojennych. Casus Forestal powtarza się.

M. N.

Sprostowanie

W poprzednim (28) nrze tygod. „Więść” na str. 12, w nocie zatytułowanej „Podwójny doktor honoris causa” był błąd zecerski; zarówno w tytule jak w treści winno być: honoris causa.